# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

**Wychodzi każdej soboty.**

**REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.**
**ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).**
**Telefon Nr. [illegible]**

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

**Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.**

**W Warszawie do nabycia wszędzie.** **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

**Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 30. kwietnia 1921. Nr. 18.


# Tragiczny epilog romansu rozwiedzionych



**Tłum podczas pogrzebu ś. p. Jaworskiego atakuje nieznaną panią, sądząc, że to „Cesia".**



Odznaczenie obrońców Lwowa. Przemówienie jenerała Rozwadowskiego.

## Tragiczny epilog romansu rozwiedzionych.

(Do illustracyi tytułowej).

Lwów przeżył w ubiegłym tygodniu senzacyę, która na kilka dni zajęła ogólną uwagę, a szczególnie podniecająco podziałała zwłaszcza na niższe sfery tamtejszego społeczeństwa.

Tadeusz Jaworski właściciel znanego zakładu fotograficznego „Adela“ w Pasażu Mikolascha, rozwiedziony ze swoją żoną, utrzymywał od pewnego czasu stosunek miłosny z Cesią Liebermannową, separowaną żoną fotografa lwowskiego, zajętą w jego pracowni.

Korzystając z pogodnego kwietniowego południa wybrał się Jaworski z Cesią na przechadzkę do lasu na Pohulance. Kroki ich śledził mąż Cesi Maks Liebermann, który z nienacka przystąpił do odpoczywającej na murawie pary i po krótkiej wymianie słów wystrzelił z rewolweru do Jaworskiego. Ranionego śmiertelnie Jaworskiego przewieziono na izbę chorych 44 pułku piechoty stąd zaś do Szpitala powszechnego, Liebermann zgłosił się na policyi, gdzie zawiadomił o zajściu.

W szpitalu zmarł Jaworski skutkiem odniesionej rany, a gdy się po mieście rozeszła wieść, że w ostatniej chwili z pominięciem własnej żony zapisał cały swój milionowej wartości majątek Cesi Liebermannowej, wywołało to ogólne oburzenie. Na ustach całego Lwowa była tylko „Cesia“, tłum żądny zawsze taniej senzacyi, chciał ją koniecznie widzieć. Nie ulegało kwestyi, że w pogrzebie śp. Jaworskiego weźmie ona udział, tysiące ciekawych, między którymi przeważały kobiety, pospieszyły przed dom przedpogrzebowy przy ulicy Kochanowskiego, skąd jak zapewniano, miał wyruszyć o godzinie 11 rano orszak żałobny.

Nadzieje zostały jednak zawiedzione, gdyż wskutek zarządzenia rodziny pogrzeb miał się odbyć nie z kostnicy, lecz z kaplicy Boimów o godzinie 3. popołudniu. Po 11 przywieziono do kaplicy Boimów zwłoki śp. Jaworskiego ale zamknięte w trumnie. Tłumnie zebrały się już wszelkiego rodzaju szumowiny około g. 2 przed kaplicą Boimów, mając na oku niej!“ rzuciła hasło jedna z „chusteczkowych“ bab, a to wystarczyło do demonstracyjnego zerwania wieńca z karawanu i podarcia go na strzępy.

O godzinie 3 w końcu karawan miał ruszyć z miejsca, tłum jednak był tak ściśnięty, że policya musiała wysłać silniejszy oddział, celem utrzymania porządku. Tłum zalegał cały plac przed kaplicą, oraz całą ulicę Halicką, aż do pl. Bernadyńskiego. Za trumną kroczyła żona Jaworskiego i brat zastrzelonego. Tłum nie dał jednak za wygranę i w nadziei, że „Cesia“ może czeka na cmentarzu, podążył za karawanem aż na cmentarz.

Ofiarą tego rozbudzenia nienawiści padła jakaś zupełnie niewinna pani, żona majora, na którą wskazano jako na rzekomą „Cesię“. Pani ta znalazła się zupełnie przypadkowo na cmentarzu, a widząc tak wielki tłum nad grobem Jaworskiego z ciekawością przypatrywała się z daleka. Jeden z policyantów chcąc dać dowód swojej grzeczności poprosił panią tę bliżej i utorował jej drogę do grobu. To wystarczyło na przypuszczenie, że pani ta jest właśnie tak długo oczekiwaną „Cesią“, co wywołało wielką demonstracyę przeciwko niej. Ledwo ksiądz ustąpił z grobu, rozwścieczone baby rzuciły się na Bogu ducha winną kobietę, parasolkami, gałązkami drzew, wyrwanymi z grobów, krzyżami, tak ją strasznie obiły, że z wielką trudnością udało się kilku wojskowym i policyantom wyrwać z rąk tłumu i prawie nieprzytomną zanieść do kancelaryi zarządcy cmentarza. Odgrażający się tłum podążył i tam i kto wie coby się było stało, gdyby przypadkowo nie



Odznaczenie obrońców Lwowa: Wręczanie odznaczeń przez jenerała Rozwadowskiego.

zobaczenie „Cesi“. Jakakolwiek pojawiła się na miejscu „lepsza kobieta“, w tej chwili domyślano się w niej „Cesi“. A kiedy nie przybyła, kumoszki gniew swój skoncentrowały na jakiś anonimowy wieniec. „To od był się ukazał samochód, do którego pod silną eskortą policyantów zaniesiono omdlałą panią i odwieziono do domu.

Podczas gdy tłum tak szalał „Cesia“ najspokojniej przebywała na policyi dokąd dzięki przezorności r. Łukomskiego została zawezwana, właśnie na godzinę 2·30 popołudniu i przetrzymana przez cały czas pogrzebu, a nawet i jakiś czas później. Tej tylko przezorności „Cesia“ zawdzięcza całość swego zdrowia i życia.



Odznaczenie obrońców Lwowa: Jeneralicya, odznaczeni i goście podczas defilady.

## Odznaczenie obrońców Lwowa.

W dniu 17 kwietnia b. r. pospieszył cały Lwów na Plac Maryacki, aby wziąć udział w uroczystości odznaczenia swych walecznych obrońców orderami *Virtuti militari* i Krzyżem walecznych i bodaj w ten sposób złożyć im hołd za ich bohaterstwo i poświęcenie.

Olbrzymi plac zamknięto oddziałami załogi lwowskiej, u stóp pomnika Mickiewicza zebrali się bardzo liczni przedstawiciele władz i instytucyi. Wśród obecnych byli: Jen. Delegat Rządu dr. Gałecki w towarzystwie szefa biura prezydyalnego p. Olpińskiego i w otoczeniu szefów wszystkich władz, prezydyum miasta, jeneralicya, znakomity kaznodzieja francuski przybyły właśnie z odczytami do Lwowa, ks. Desgranges, członkowie wojskowych misyi zagranicznych, konsul angielski Whitead z majorem angielskim Grandem, poseł polski w Pradze dr. Lasocki, wielu oficerów sztabowych, przedstawiciele licznych instytucyi i t. d.

Na zaproszenie władz wojskowych, zjawiło się też bardzo wiele rodzin odznaczonych oficerów i żołnierzy, a przybyły także rodziny tych, którym los nie dał doczekać tej uroczystej chwili — krewni tych, którzy polegli w bohaterskich walkach, a dziś, na ich krzyżu cmentarnym, pojawi się w upominku od Rzeczypospolitej, jako symbol pamięci i wdzięczności — krzyż wojskowy.

Gdy się ze stopni pomnika spoglądało na twarze szeregu oficerów i żołnierzy, przypomniała się przepiękna, nimbem bohaterstwa i poświęcenia jednostek otoczona historya obrony Lwowa. W myślach występowały plastyczne obrazy tego wszystkiego, co przeszło miasto; każdy żołnierz i oficer naprowadzał wspomnienia tych olbrzymich wysiłków, które złożyły się na obronę grodu.

Z pod kolumny pomnika, pierwszy przemówił wiceprezydent miasta dr. Leonard Stahl, kończąc słowami:

„Lwów — stara strażnica Polski i cywilizacyi oraz kultury Zachodu przez usta moje woła: Cześć Wam Bracia!“

Następnie zabrał głos były dowódca armii operującej dookoła Lwowa jen. Tadeusz Rozwadowski. Jenerał podniósł, że niedawno upłynęły dwa lata, kiedy to w marcu 1919 r. złożył dowództwo armii, która w pamięci Lwowa i kresów krwią zalewała swe czyny.

Jenerał Rozwadowski oświadczył dalej, że czuje się dumny, iż Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz polecił mu dokonać dekoracyi oficerów i żołnierzy i w pierwszej linii przypomniał pamięć tych, którzy w obronie Ojczyzny dali swe życie.

Następnie zszedł ze stopni pomnika i rozpoczął przypinać ordery *Virtuti militari*. Pierwszy otrzymał to zaszczytne odznaczenie tak dobrze znany wszystkim płk. brygadyer Czesław Mączyński, inicyator walk listopadowych.

Z kolei nastąpiło dekorowanie licznych zastępów oficerów i żołnierzy Krzyżem walecznych. Odznaczenia te otrzymało też kilkanaście kobiet, biorących udział w walkach w obronie Lwowa z karabinem w ręku.

Naprawdę rzewna i wzruszająca była chwila, gdy zamiast wywoływanych po odbiór krzyżów oficerów i żołnierzy, który polegli śmiercią bohaterską, zjawiały się ich rodziny. Serdeczne współczucie towarzyszyło tym osieroconym i wdzięczność współobywateli za ofiarność i krew przelaną przez tych licznych żołnierzy polskich w obronie Lwowa.

Piękna uroczystość zakończyła się defiladą załogi lwowskiej przed odznaczonymi.

Odznaczeni zostali orderem Virtuti militari zmarli i polegli: ppłk. Wyrwiński Wilhelm, Botrowski, mjr. Stroński Zygmunt, kpt. Grzybowski Franciszek, Grodyński Jerzy, Kopeć Ludwik, Stark Wilhelm, Bogucki-Krzywda Kazimierz, Bastyr Stef., rtm. Siałkowski Iwo, por. Mazanowski Józef Maryan, Dobranicki Kazimierz Henryk, Dziewanowski Michał, Małagowski Stanisław, ppor. Holinkowski Stefan, Bogucki Kazimierz, Dworzański Stanisław, Towarnicki Stanisław, Goldschlang Zygmunt, Plater Zyberg Henryk, Bataglia Andrzej, Kamiński Wiktor, Mirecki Józef Aleksander, Wolak Stanisław, Olechowski Jan, Kurdyban Józef, Kołakowski Wojciech, Olechowski Maryan, Noss Edward, pchor. Gettmann Władysław, Kolbuszewski Władysław, sierż. sztab. Piwko Władysław, sierż. Głogowski Jan, Smoleński Wrocisław, plut. Filipow Jan, szer. Grabski Stanisław, Sieradzki Jerzy, Petrykiewicz Antoni, Jakubowski Konstanty, Baczyński Stefan, Komala Ludwik, Widt.

Żyjący: płk. bryg. Mączyński Czesław, płk. Maryański Walery, Teodorski Serda Aurelian, Kleeberh Franciszek, Tokarzewski — dow. grupy, Zarzycki Ferdynand — dowódca brygady, ppłk. Modelski Izydor, de Beaurain Janusz, Łodziński Tadeusz, Sopotnicki Józef, Cieński Michał, mjr. Dr. Jakubski Antoni, Stec Stefan, Rozwadowski Władysław, Kawiński Rudolf, Olchowski, Dziedziuszycki Konstanty, Jaklicz Józef, Trześniowski Zdzisław, Dr. Bartel Kazimierz, de Laveaux Ludwik, kpt. Cygan Józef, Weksler-Wierzbowski Stefan, Hićkiewicz Ludwik, Rogoziński Roman, Haller Stanisław, Bujalski Adam, Todt Wilhelm, Kuchar Tadeusz, rotm. Nittman Tad., Krynicki Tadeusz, Bieńkowski Adam, por. Dawidowicz Antoni, Wąsowicz Franciszek, Kruszyński Stan., Kiedrzyński Maryan, Nowosielski Tadeusz, Toroń Władysław, Szydłowski Sławosz, ppor. Ilikowski Stanisław (6 razy ranny), Solski Adam, Jakliński Leszek, Tracz Maryan, Gorecki Janusz, Feldstein Tadeusz, Klimczyk Karol, Knobloch Roman, Hanak, Roman Konrad, Garlicz Albin, Patlewicz Bronisław, Korolewski Władysław, Krasicki Mikołaj, chor. Mączyński Franciszek, pchor. Nekrasz Wład., Breiter Jakób, Kostecki Kazimierz, sierż. sztab. Moszniewski Teofil, sierż. Sidorowicz Edward, Piłat Jan, wachm. Knizatko Edward, plut. Zarugiewicz Konstanty, Lenczner Władysław, Hołub Józef, kapr. Wojnar Józef, sekc. Lener Fryderyk, szer. Jakimowicz Antoni, Jerzyk Roman.



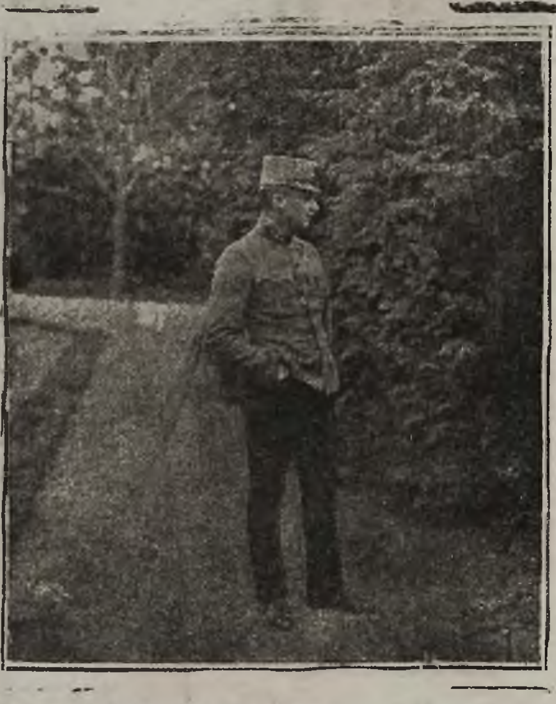
**Echa niefortunnej wyprawy po koronę węgierską:** Ex-król Karol w oknie wagonu.



**Echa niefortunnej wyprawy po koronę węgierską:** Defilada dzieci w Steinamanger przed ex-królem Karolem.



**Echa niefortunnej wyprawy po koronę węgierską** Ex-król Karol w otoczeniu oddanych mu oficerów.



**Echa niefortunnej wyprawy po koronę węgierską:** Pułkownik Lehar, dowódca dywizyi, która się oświadczyła za ex-królem Karolem.

## Echa niefortunnej wyprawy po koronę węgierską.

Dzisiaj, gdy miesiąc już cały dzieli nas od podróży byłego cesarza i króla Karola, na Węgry po koronę św. Szczepana, można się zastanowić krytycznie nad faktem, który w życiu politycznem mógł mieć bardzo daleko idące następstwa, skończył się przecież zupełnem fiaskiem.

Prasa codzienna przedstawiła całą sprawę w sposób prawie operetkowy, widzimy przecież, że tak nie było, przyjęcie bowiem, z jakiem ex król Karol spotkał się zwłaszcza w Szombathely (Steinamanger), świadczy aż nazbyt dowodnie, iż idee monarchiczne są na Węgrzech bardzo silnie zakorzenione, a powrót rodziny królewskiej spotkałby się z żywem zadowoleniem wielkiej części węgierskiego społeczeństwa.

Przekonywują zaś o tem fotografie, mające związek z ostatnim pobytem Karola na Węgrzech. Podajemy je na podstawie źródeł francuskich, co każe przypuszczać, że nie były widocznie pozbawione pewnej realnej wartości wzmianki prasy, iż „podróż



**Echa niefortunnej wyprawy po koronę węgierską**: Pożegnanie ex-króla Karola przez jego stronników.

Karola na Węgry nastąpiła za cichą zgodą rządu francuskiego".

W przeciwnym razie francuskie źródła starałyby się przekonać świat, że przedsięwzięcie się nie udało, gdy tymczasem widzimy z ilustracyi, że było ono bardzo serdeczne, że zatem jest prawdą, iż na wiadomość o przybyciu ex-króla na ziemię węgierską pośpieszyły na jego powitanie deputacye z całego kraju, a także za nim oświadczyła się dywizya węgierska, rozlokowana w okolicy, a zostająca pod dowództwem pułkownika Lehara.

Wojsko miało wyrazić swą gotowość pomaszerowania wraz z królem na Budapeszt. Jak doniosły telegramy, pułkownik Lehar został spensyonowany co kazałoby wnosić, że również i w szeregach armii powrót Habsburgów na tron węgierski może liczyć na poparcie.

Szczegóły pobytu ex króla Karola na Węgrzech są znane z telegramów. Z Steinamanger, gdzie zamieszkał u tamtejszego biskupa, udał się do Budapesztu, skąd po kategorycznej odmowie naczelnika Horthy'ego, powrócił do miejsca chwilowego zamieszkania, gdzie zasłabł, skutkiem czego pobyt jego na Węgrzech przedłużył się o kilka dni. Czy ta słabość była przypadkową, czy też wchodziła w program podróży, nie wiadomo. Ostatecznie, skutkiem stanowczej postawy sąsiadów, którzy powrót Habsburgów na tron węgierski uważaliby za *casus belli*, nic nie zdziaławszy, powrócił Karol w towarzystwie oficerów koalicyjnych do Szwajcaryi, żegnany również owacyjnie przez ludność przy odjeździe.

Przejazd przez dawne austryackie prowincye był nieco utrudniony. W Bruck nad Murą, robotnicy nie chcieli przepuścić pociągu, dowiedziawszy się, że się w nim znajduje ex cesarz, wznosili wrogie przeciw niemu okrzyki, doszło nawet do tego, że towarzyszący Karolowi oficerowie koalicyjni musieli uciec się do białej broni, aby rozproszyć demonstrantów. Bez dalszych wypadków dojechał wreszcie Karol do Szwajcaryi, ale ...bez korony.

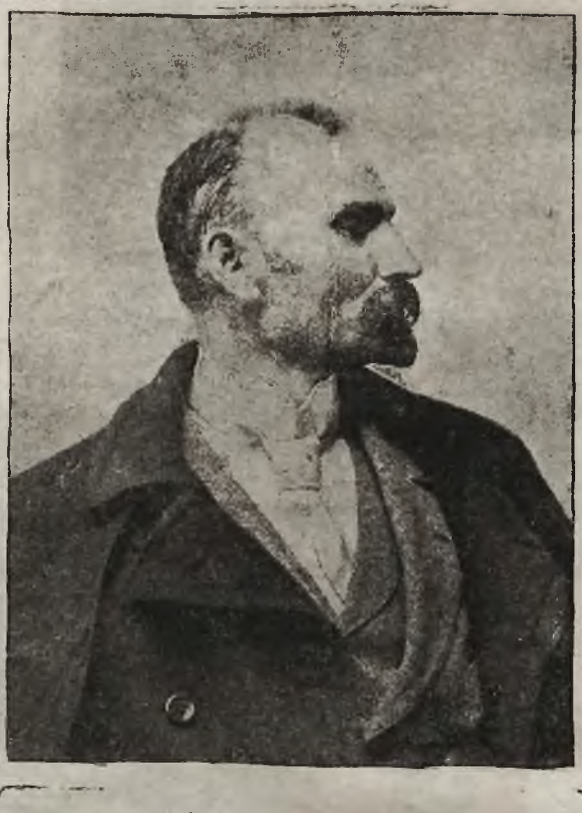
## Pięćdziesięciolecie pracy artystycznej.

W nielicznym szeregu wielkich w sztuce polskich nazwisk, które w dobie dzisiejszej snują dalej tradycye najświetniejszej epoki rozkwitu malarstwa polskiego, świeci niepowszednim blaskiem nazwisko Leona Wyczółkowskiego.

W roku bieżącym upływa pół wieku odkąd poczęła się działalność tej niezwykle bujnej i zgoła odrębnej indywidualności malarskiej. Poprzez widnokrąg sztuki samej przewaliły się różne kierunki i prądy, które nam naniosły wiatry z Zachodu, wiele z nich znikło bez śladu lub zatarło się w pamięci, jako przemijający szlak chwilowych upodobań. Wyczółkowskiego twórczość, choć brała w siebie i chłonęła wszystko co najlepszego przyniosła nam sztuka obca, zachowała siłę i rodzime piętno, przechodziła najróżnorodniejsze ewolucye, aby w ostatecznym bilansie skrystalizować się w pełny kształt najczystszej, najszlachetniejszej sztuki. W indywidualiźmie Wyczółkowskiego tkwi synteza wszystkich tych czynników, które składają się na pojęcie talentu. Wyborny rysownik, świetny kolorysta obracający się z równą swobodą i łatwością w dziedzinie tematów rodzajowych, twórca portretów, pejzażu, kwiatów, operujący wszystkimi rodzajami techniki malarskiej, pastelista, akwaforcista, grafik, jest na horyzoncie sztuki naszej wyjątkowem zjawiskiem.

Bogata, płodna i wielostronna twórczość Wyczółkowskiego przeszła przez wszystkie dziedziny malarstwa i zostawiła w nich trwały ślad nie tylko myśli artystycznej, ale i talentu pierwszej wody. Talent ten wykuwał artysta w nieposlednim trudzie żywota, przydając doń w biegu lat coraz to nowe walory, ujarzmiając coraz to inne tereny wiedzy malarskiej.

Cierpliwością i wytrwałością, jakiej przykładu nie znajdziemy u żadnego z współczesnych malarzy, doszedł on do swoich znakomitych rezultatów w całym cyklu dziedzin na pozór sprzecznych. Wiedza i technika malarska nie mają dziś żadnych dla niego tajemnic. Jako senior jubilat polskich malarzy, Wyczółkowski staje dziś dorobkiem swym na tej wyżynie, z której promieniuje jako wzór dla idącego pokolenia. Dziś w dobie wielkich przemian, jakie czekają całą dziedzinę polskiego życia, potęguje się niepośledn1e znaczenie takiego mistrza, który myślą i sercem odczuwa istotę rodzimej sztuki i wysnuwa z niej przędzę swych pomysłów.



**Pięćdziesięciolecie pracy artystycznej**: Artysta malarz Leon Wyczółkowski.

Kolebka Wyczółkowskiego stała na Podlasiu. Urodzony w. r. 1852 po skończeniu gimnazyum poszedł do Gersona na naukę rysunków, poczem dopełniał studyów w szkole rządowej, a w r. 1875 wyjechał na dalsze studya do Monachium. Odznaczony tam za znakomite studya srebrnym medalem wyjechał z przygotowanemi na obraz szkicami do Krakowa, gdzie Matejko oddał mu salkę, przyjmując go do swej majsterszuli, w której równocześnie z nim pracowali Pruszkowski, Malczewski, Buchbinder i Gottlieb. W tej to szkole i pod wpływem mistrza Jana powstał jeden z najpiękniejszych jego obrazów „Ucieczka Maryny Mniszchówny", wywołując od razu niezwykłe wrażenie jasnością kompozycyi, plastyką, zgrupowaniem i kolorytem. Po dwuletnim pobycie w szkole Matejki, rozpoczął samodzielną pracę, udając się na pierwszy jej etap do Lwowa. Stąd odbywał wycieczki po wschodniej Galicyi, zbierając motywa, szkice i typy, któremi wzbogacił swą tekę. Ze Lwowa podążył do Warszawy, gdzie związał się gorącą przyjaźnią z malarzem Adamem Chmielowskim, późniejszym popularnym bratem Albertem, twórcą znanego zgromadzenia zakonnego. W tym czasie znalazł się w pośrodku ruchu jaki, wywołali powracający wprost z Paryża plenerzyści i impressyoniści z Pankiewiczem i Podkowińskim na czele. W tem gronie Wyczółkowski, który równocześnie przybył z Ukrainy reprezentował słońce i kolorystykę.

Występowały te czynniki w dwóch przywiezionych przezeń obrazach „Łowienie raków" i „Rybacy", które wystawione w r. 1891 w Berlinie olśniły tamtejszą krytykę. Równocześnie powstaje „Chrystus", fragment z krucifiksu ołtarza Maryackiego kościoła i „Chrystus na krzyżu" z katedry na Wawelu, wreszcie głośne „Sarkofagi" pełne majestatu i nastrojowości, arcydzieła pomysłowości i malarskiego kunsztu. Tu też należy „Orka", jeden z najświetniejszych obrazów, łączący zalety sceny rodzajowej z przedziwnym nastrojem kolorystycznym krajobrazu ukraińskiego.

W r. 1895 powołany na profesora Akademii Sztuk pięknych w Krakowie, kontynuuje Wyczółkowski swą działalność, zmieniając kolejno dziedziny malarskiego eksperymentowania. Próbuje pracować pastelami i doprowadza w tym rodzaju techniki do mistrzowstwa, rysuje kredką portrety o niesłychanej sile wyrazu i charakterystyki, przerzuca się do grafiki i w tym dziele również stwarza całe cykle arcydzieł, którym w dorobku jego honorowe należy się miejsce. Gdy jeszcze dodamy, że poezya Tatr przemówiła doń całą pełnią swego piękna i wyczarowała z jego pędzla całe cykle nieporównanej piękności krajobrazowych studyów, i obrazów — będziemy mieć pełne pojęcie o ogromie różnostronności i bujności tej niepowszedniej organizacyi wielkiego talentu jaką nosabia Wyczółkowski.

Pierwszym aktem uczczenia pięknego jubileuszu jednego z największych i najzasłużeńszych malarzy polskich, jest urządzona w Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie wystawa jubileuszowa dzieł Wyczółkowskiego. Zajęła ona wszystkie sale naszego pałacu sztuki i przyniosi w nich bogaty i niezmiernie interesujący plon, ogarniający wszystkie dziedziny twórczości jubilata. W sali głównej na wprost wejścia wita nas portret Wyczółkowskiego, pędzla Jacka Malczewskiego. Tu znajduje się cała kollekcya portretów olejnych, pastelowych i graficznych, w następnych cykl architektury starego Krakowa i starej Warszawy, kilka pejzażów tatrzańskich, obrazy rodzajowe, cykle kwiatowe w technice pastelowej, cykl widoków polskiego morza, wreszcie w małych salach grafika w najlepszych swoich okazach.

Wystawa, na którą złożyły się dzieła będące własnością oddziału Muzeum narodowego imienia Feliksa Jasińskiego, potrwa do 20 maja b. r., poczem ustąpi miejsca drugiej wystawie, na którą złoży się serya dzieł Wyczółkowskiego użyczonych przez krakowskie zbiory prywatne.

Wyczółkowski jest także laureatem Akademii umiejętności nagrodzonym w r. 1902 premią z fundacyi malarskiej Barczewskiego. Ogół miłośników jego talentu życzy mu przy sposobności jubileuszu, aby w pełni sił i twórczości złotych ze sztuką doczekał godów na chlubę polskiego malarstwa i jako wzór pracy i umiłowania zawodu dla młodego pokolenia malarzy. *Ad multos annos!* *W. Pr.*



**Niedzielny strajk jeneralny w Anglii**: Jeden z członków rodowej arystokracyi angielskiej, zajęty jako ochotnik przy ratowaniu zagrożonych kopalń.

K. CZEREMOSZ.

# KRWAWE DZIEDZICTWO

4. POWIEŚĆ.

Ucichło, czar prysnął! ujrzał się w konwencyonalnym salonie, naprzeciwko p. prezesowej, oczekującej z niecierpliwością jego pochwał. Wstał, a podając rękę pannie, rzekł.

— Dziękuję, sprawiła mi pani prawdziwą rozkosz swym śpiewem.

Dziewczę zarumieniło się, a mama z tryumfem spojrzała wokoło, jakby brała na świadków tych słów, fotele, krzesła i wielkie oleodruki.

Po herbacie grała p. Klara, lecz nie sprawiła już tego wrażenia co siostra.

— Nie rozumie się na muzyce — pomyślała mama — Śpiewem tylko dusza do duszy przemawia — mówiła do siebie p. Nelli z tajemnem biciem serca.

Ależ wynudziłem się — myślał p. Michał wracając do domu — wstąpiłem jednak na drogę konkurów — dodał pocieszając się — tylko, że te panny dyabelnie nie ładne, a tak do siebie podobne, że niewiedzieć którą z nich wybierać. No juści wolę śpiew jak fortepian, a to jedynie zdaje się je odróżniać.

Minęło lato w ciągu którego pan Michał urządzał kilka wycieczek dla tych pań, płacił powozy, przynosił bukiety, przysuwał się to do jednej to do drugiej, słuchał śpiewu i muzyki, ale dalej ani rusz. Ba, już i jesień na dobre się rozpoczęła, a p. prezesowa nie mogła doczekać się deklaracyi.

— Um Gottes Willen was ist da zu machen — mówiła nieraz do córek — wszyscy znajomi o tem mówią, niektórzy nawet mi winszują, a ten nic a nic. Może siostra wstrzymuje go.

— Siostra — zawołała Klara — ona dałaby niewiem co, żeby się z którą z nas ożenił.

— Może liczy na majątek po nim — upierała się matka.

— Mama wie, że tak nie jest — przemówiła Nelli kwaśnym tonem — po starszym bracie myśli dziedziczyć, młodszego zaś pragnie ożenić, aby nie wymarł sławny ród Wirskich. — Zaśmiała się z przymusem i odwróciła do okna.

Matka spojrzała na Klarę i pokiwała głową, Klara z niesmakiem ruszyła ramionami.

— Mein armes, armes Kind — rzekła zbliżając się do Nelli i wpół ją obejmując — nie smuć się, wszystko jeszcze dobrze się skończy.

Ale Nelli wysunęła się niecierpliwie z objęć matki i szepnęła ze złością — niech mi mama da spokój —

— Zkądże znowu ta myśl, że on ma się do Nelli — zawołała Klara stając naprzeciw matki i siostry — o ile wiem, nie odróżnia jej niczem odemnie.

— Mnie się jakoś wydaje, że on do Nelli się skłania — tłómaczyła się pokornie matka — a ona to już naprawdę nim zajęta.

— Ach co do tego, to Nelli gotowa zająć się każdym, który na nią popatrzy —

— A ty niby nie — zawołała Nelli oburzona.

— Ale mnie się wszystko zdaje — kończyła Klara nie zważając na siostrę — że on w kimś innym zakochany.

— W kimże to — zapytała matka niespokojnie.

— Mama nigdy nie uważała jak on na wspomnienie pewnych osób mięsza się i czerwieni? — mówiła Klara.

— Na wspomnienie jakich osób —

— No, no, że też ja pierwsza odkryłam tę tajemnicę — pokiwała głową.

— Powiedzże raz kogo masz na myśli — zawołała niecierpliwie Nelli.

— Ależ tę nauczycielkę, która jest u jego siostry.

— Co znowu — rzekła Nelli ruszając ramionami.

— Niepodobna! — krzyknęła matka z oburzeniem — czyżby śmiał w takim razie starać się u nas?

— Co tam za starania — odparła Klara — że przyjdzie kiedy nie kiedy i czasem bukiet przyniesie? Ludzie mogą myśleć co im się podoba, ale my moja mamo wiemy najlepiej, że na tem wszystkiem nic niema. Zresztą co mi tam do tego, ja go się wyrzekam.

— Kwaśne winogrona — szepnęła złośliwie Nelli.

— Kwaśne czy nie kwaśne, a ja nagonkę nie będę urządzała, zostawiam to innym — z temi słowy wyszła trzasnąwszy drzwiami.

— Czy on nigdy nie mówił do ciebie etwas anzügliches — ozwała się matka do Nelli pozostawszy samą.

— Etwas anzügliches? — odparła dziewczyna w zamyśleniu — owszem, mówił, że śpiew mój nasuwa mu śliczne obrazy, że słuchając mnie jest tak szczęśliwy jak nigdy w rzeczywistości.

— No to o śpiewie, ale coś o tobie samej naprzykład, że miło mu z tobą, że chciałby całe życie patrzeć na ciebie — przypominam sobie, że coś podobnego mówił mi wasz ojciec przed oświadczynami.

— Ależ mamo, toby już było prawdziwe oświadczenie — rzekła Nelli czerwieniąc się jak podlotek — zresztą czy ja wiem, może i mówił, ale ja zawsze jestem tak zmięszana w jego obecności, tak...

— O du mein liebes Kind, meine liebe Unschuld — uśmiechnęła się matka szczypiąc ją w policzek — on nic nie wie jaki skarb miałby w tobie — westchnęła — a ja jednak nie spocznę, dopokąd nie dowiem się czegoś o tej nauczycielce — dodała z nagłą determinacyą.

Jakoż zasięgnąwszy języka zkąd się dało, postanowiła pozbieranemi wiadomościami podzielić się z siostrą szanownego mecenasa.

Na sposobność nie czekała długo.!

Pani Czarska przychodziła od czasu do czasu dowiedzieć się o zdrowie p. prezesowej, pp. prezesówny ch i p. prezesa. O zdrowie ulubionego pieska p. Klary i papużki p. Nelli, oraz wysłuchać skarg na sługi, na drożyznę i na ciężkie czasy.

I tym razem przyszedłszy, spodziewała się, że wszystko pójdzie zwyczajną koleją, tymczasem zauważyła z wielkim niepokojem, że tak p. prezesowa jak i jej córki, jakieś inne, obojętne, milczące, jakby obrażone. Podwoiła więc grzeczności.

— Czy pani prezesowa była na ostatnim koncercie? — zapytała z najsłodszym uśmiechem.

— Była z pannami, ale cały czas tak się czuła zirytowaną, że nawet muzyki nie słyszała.

— Zapewne złe wykonanie — rzekła pani Czarska z westchnieniem — taka znawczyni jak pani prezesowa byle czem się nie może zadowolnić, ale trzeba wybaczyć wszak to tylko zwykłe „towarzystwo muzyczne".

— Ach to nie o muzykę chodzi, ale o publiczność!

— Publiczność — zdziwiła się p. Czarska — wszak tam bywa sama śmietanka towarzyska.

— Tym razem przeciwnie — zabrała głos p. prezesowa — wyobraź pani sobie przed nami siedziały jakieś nauczycielki czy bony, poznałam je po ruchach i wyzywających spojrzeniach, rozmawiały, śmiały się, oglądały, że trudno było skupić uwagę. Czy pani spostrzegła, jak te wszystkie nauczycielki są krzykliwe i źle ułożone? Nie mogę znieść ich towarzystwa! zakończyła z energią.

Pani Czarska spuściła oczy przypomniawszy sobie, że w własnym domu obraziła p. prezesową towarzystwem nauczycielki.

— A przytem — ciągnęła dalej p. prezesowa — takie to narzucające się, intrygujące, doprawdy za żadne skarby nie trzymałabym w domu nauczycielki.

— Tak pani prezesowa sądzi? — zauważyła zmięszana p. Czarska — może być, że starsze są niebezpieczne, ale młode, zupełnie młode — dodała błagalnie, jakby chcąc rozbroić zaciętą przeciwniczkę.

— Jeszcze gorsze — zawołała z gniewem p. prezesowa — starsze przynajmniej nie kokietują, nie zawracają głowy mężczyznom, a młode! Każda z nich pragnie jak najprędzej się wydać albo romansować, a najpewniej z krewnym domu.

— Z krewnym? — p. Czarska podniosła głowę i oblała się pąsem.

— A tak — odparła p. prezesowa śmiejąc się szyderczo — jedna nasza znajoma ma taką *młodą* nauczycielkę i cóż pani powie na to? Kiedy wszyscy wyjdą z domu, niewiniątko to urządza sobie schadzki w dziecinnym pokoju i to z najbliższym krewnym pani domu.

— Czyż to możliwe — zawołała p. Czarska z oburzeniem — któżby się dał tak oszukiwać.

— Własny interes zaślepia — zauważyła milcząca dotąd p. Klara.

Pani Czarska mieniła się na twarzy — Co to znaczy — myślała — czy te panie o niej mówią, o niej, którą dotąd obsypywały czułościami? myślą, że się dała wywieść w pole dzieciakowi? ach nie, to niepodobna!

— Czy panie znają dobrze tę osobę? — spytała po chwilowem milczeniu.

— Znamy, ale nie chcemy się mięszać do tego — odpowiedziała oschle p. prezesowa.

— Dlaczego? wszakże dobrodziejstwem byłoby przestrzedz ją — mówiła z przyciskiem p. Czarska spoglądając kolejno po trzech kobietach.

— Najlepiej nie kłaść palca między drzwi — zauważyła ze sztucznym uśmiechem p. Nelli.

Rozmowa potoczyła się dalej, ale tych słów kilka utkwiły niby cierń w piersi p. Czarskiej. Ta przyjaźń tak droga dla niej gotowa się rozchwiać i to przez głupie podejrzenie! A kto wie zresztą, czy to tylko podejrzenie? Co prawda zawsze Michaś miał z nią coś do gadania, zawsze wisiał przy niej i w domu i w ogrodzie, nieraz to widziała, ale myślała, że to zwykła jego grzeczność dla nieszpetnej towarzyszki. Ba, ale z tej dziewczyny dumna sztuczka, gotowa go opłątać i jeszcze do ołtarza pociągnąć! No, jeżeli spostrzeże jakąś kokieteryę, jakieś manewra panieńskie, odgoni, jak Bóg na niebie, odgoni.

Odtąd p. Czarska nie spuszczała z oka Celinę! Podpatrywała, szpiegowała, wpadała jak bomba do pokoju dzieci, nic jednak nie mogła spostrzedz, prócz ukradkowego wpatrywania się brata, kiedy dziewczyna była czemś innem zajęta. Ustały rozmowy, grzeczności, przekomarzania się. Spojrzenia te jednak nie podobały się p. Czarskiej, było w nich jakieś zapomnienie o sobie, jakaś trwożna nieśmiałość, jakieś pragnienie nieuchwytne. Wyglądało to tak jakby się *ona* na niego gniewała, jakby *ona* do odpychała. Pani Czarska pałała gniewem, coś w tem być musi!

Zaczęła się dowiadywać od sług, sąsiadów i oto w końcu doszła, że podczas owej pamiętnej wycieczki na Wolę, p. Michał wrócił pokryjomu tutaj do domu, a ona, Celina, przyjmowała go sama jak palec, bo nawet sługi, jako w dzień świąteczny miały swój wychód. Kto wie co tam między nimi zaszło, rozumowała p. Czarska, w każdym razie dłużej tego cierpieć nie mogła.

Pewnego więc dnia zawołała Celinę go osobnego pokoju, a zamknąwszy drzwi zaczęła z gniewną zaciętością.

— Piękne rzeczy kursują o pani i o moim uczciwym domu, wobec mnie spuszcza się skromnie oczka, a za mojemi plecami zarzuca się sieci na grube ryby. —

— Czy pani do mnie mówi? — zapytała Celina, patrząc ze zdziwieniem na unoszącą się coraz bardziej kobietę.

— Czy do pani? dobre pytanie! może zrozumiesz mnie lepiej, gdy powiem, że idzie tu o mego brata.

— O pana Michała? a cóż on ma ze mną wspólnego? —

— Naturalnie, tak i jabym się spytać mogła! A jednak starała się pani wszelkimi sposobami przyciągnąć go, a widząc, że udana obojętność nie sprawia wrażenia, poniżyłaś się do naznaczenia mu schadzki.

— Czy to pan Wirski powiedział? — zawołała dziewczyna z pałającem spojrzeniem.

— Mniejsza z tem kto powiedział, dość, że się dowiedziałam. Nie zaprzeczysz pani, żeś przyjmowała mego brata tutaj, gdyśmy byli na Woli. Wstyd, panna z mężczyzną sama jedna w całym domu.

— A cóż miałam robić kiedy wpadł tutaj pod kłamliwym pozorem, jak do własnego domu? — zawołała Celina z oburzeniem. — Chciał zostać i ledwo go się pozbyłam groźbą, że wyjdę natychmiast. Czyż pani nigdy nie spostrzegła jak mi wstrętne były te jego grzeczności?

(Dalszy ciąg nastąpi).

**MATYLDA SERAO**

# UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

38 I.

Teraz jest już wolny! Teraz już nikt przeszkadzać mu nie będzie w poszukiwaniach! Przybywszy do Paryża Alimena miał zamiar pozostać tam kilka tygodni. Skrócił jednak swój pobyt. Uzbrojony w listy polecające do dyrektora policyi, udał się do niego, aby wspólnie omówić plan poszukiwań, które miał na widoku.

Po długiej rozmowie, dyrektor oświadczył mu, że na razie nie jest wstanie użyczyć mu do pomocy żadnego ze swoich tajnych detektywów, gdyż wszyscy zajęci byli przeprowadzeniem bardzo ważnej i skomplikowanej sprawy na miejscu. Dodał jednak że o ile Alimena poczekać może — za dwa tygodnie odda mu do usług, dwóch wybitnych ajentów, którzy mu dopomogą do odszukania garbusa o zielonych oczach. Alimena podziękował grzecznie. Nie mógł sobie pozwolić na żadną zwłokę, bo każden dzień był dla niego drogi. Na drugi dzień siadał już na parowiec idący z Calais.

Podczas przejazdu z Calais do Douvres, dziwne uczucie dręczyło Roberta Alimenę. Miał wrażenie, że otacza go zacieśniająca się coraz więcej wokoło niego atmosfera ukrytej tajemnicy, która wybuchnąć może lada chwila i zakończyć się fatalnym, nieodwołalnym dramatem. Było to, to samo, lecz silniejsze uczucie, jakie odczuwał w Rzymie ilekroć pojawił się na ulicy w towarzystwie przyjaciela swojego Lambertini'ego. Kiedy w pewnej chwili zdrzemnął się w swojej kajucie, miał szczególną halucynacyę. Zdawało mu się, że widzi stojącego przy sobie garbusa, podczas kiedy jakaś wysmukła sylwetka kobieca oddalała się od niego powolnym krokiem. Nie mógł tylko rozeznać rysów tej kobiety. Dojrzał tylko spojrzenie, spojrzenie nieskończenie smutne i łagodne i rękę białą czyniącą mu jakieś znaki.

Obudził się ze sercem silnie bijącem, poruszony niespokojnie tem widzeniem.

Alimena pozostał dwa dni w Londynie. I zaraz pierwszego dnia odnalazł jednego ze swoich przyjaciół, sekretarza Ambasady włoskiej, który poinformowany był już o jego sprawie i który ani na chwilę nie wątpił o jego niewinności. Robert w krótkich słowach opowiedział mu całe przejście, kładąc nacisk na konieczność odszukania swojego ukrytego nieprzyjaciela i wydarcia mu jego tajemnicy. Młody sekretarz wysłuchał wszystkiego z wielką uwagą i umówił się z Alimeną na dzień następny. Mieli się spotkać u pana Vincent dyrektora policyi londyńskiej. Dyrektor, człowiek o twarzy surowej i myślącej, przyjął obydwóch młodych ludzi z obojętną grzecznością i nie zdradzał wcale ochoty do dłuższej rozmowy. Lecz kiedy Alimena nalegać zaczął chcąc otrzymać jakieś konkretne obietnice i informacye, ożywił się w końcu i potwierdził jego przekonanie, iż tylko detektywi angielscy zdolni są do przeprowadzenia szybko i dyskretnie podobnej sprawy.

Robert zapytał go wówczas, czy wolno jest detektywom angielskim poświęcić swoje usługi prywatnej osobie, co surowo wzbronione jest we Włoszech i co z trudnością uzyskać można we Francyi. Dyrektor odpowiedział mu na to, że zdarza się to dosyć często w jego kraju, lecz że znakomici detektywi, są zawsze bardzo zajęci i że niepodobieństwem będzie znaleźć choćby jednego mniej obarczonego pracą w tej chwili.

— A jednak musi mi pan dać jednego ze swoich ludzi — oświadczył stanowczo Alimena, głosem, który zdradzał, że nie cofnie się przed niczem, aby tylko dogodzić swojemu pragnieniu.

— Niemam naprawdę ludzi wolnych obecnie — odpowiedział dyrektor. A czy zresztą chodzi tu o sprawę dostatecznie poważną?

— Tak, panie dyrektorze. Sprawa ta jest bardzo poważna.

— Nienawiść czy miłość? — zapytał zimno pan Vincent.

— I jedno i drugie — odparł Robert.

— Szuka pan rywala?

— Szukam mordercy.

— I kobiety?

— Tak — poszukuję również kobiety — lecz przedewszystkiem muszę odnaleźć tamtego, zabójcę.

— Czy on ją zamordował?

— Być może, że usiłował to uczynić.

— Gdzie się znajduje ten człowiek?

— Niewiem panie dyrektorze.

— Kto to jest?

— Niewiem również.

— Czy ma pan chociaż jakie dane?

— Mam; ale to już leży w zakresie pańskiego detektywa, aby resztę wyświetlić.

— To poszukanie interesuje pana tylko?

— Nie. Chodzi tu o życie czterech osób.

— Ma pan słuszność — rzekł dyrektor uśmiechając się chłodno. Postaram się przyjść panu z pomocą.

— Dziękuję.

— Czy sądzi pan jednak, że te poszukiwania potrwają długo?

— To jest rzecz, którą określić nie można.

— Ale przecież...

— Może trwać równie dobrze tydzień jak i rok cały.

— Dobrze. Człowiek, który mógłby przysłużyć się panu nazywa się Dick Leslie.

— Mógłby? — obruszył się Alimena — Czy nie może zaraz?

— Jest bardzo zajęty w tej chwili. Poszukuje naturalnego syna pewnego lorda. Chodzi o testament i dziedzictwo kilku milionów.

— Czy przypuszcza pan, że ta sprawa długo trwać będzie — zapytał niespokojnie Alimena.

— Nie wiem — Dick Leslie, to człowiek nadzwyczajny! On poprostu czyni cuda.

— Jaka szkoda — westchnął Robert z rozczarowaniem. — Taki byłby mi właśnie potrzebny.

— Pan nie może czekać?

— Kilka dni zaledwie.

— Miejmy nadzieję, że Dick powróci prędko.

— Miejmy nadzieję — powtórzył machinalnie Robert Alimena.

— Proszę mi wierzyć — dodał dyrektor żegnając się z nim i z markizem Billie, że jak tylko powróci, poszlę go natychmiast do pana.

— Dziękuję.

— Robert Alimena powrócił do swojego hotelu w niebardzo dobrym humorze. Wynik jego poszukiwań mógł być bardzo problematyczny. Przedewszystkiem nie wiedział wcale kim był garbus o zielonych oczach i czem się zajmował. Widział go wszystkiego dwa czy trzy razy i to w przelocie. To było wszystko! Oprócz tych drobnych, mało znaczących szczegółów i przekonania, że garbus jest żydem, Robert nie mógłby nic więcej powiedzieć Dickowi Leslie, gdyby ten się zjawił. Doprawdy, było to cokolwiek za mało do odnalezienia człowieka, który mógł się znajdować na innym krańcu Europy! Mało zaś posiadał wiary w niektóre informacye, dane mu pod pieczęcią tajemnicy przez Lambertini'ego — nie pokładał również wielkich nadziei w profesorze Siloni Tomanti, który był tylko mędrcem odosobnionym od świata, pogrążonym w nauce, która pochłaniała zupełnie cały jego czas i uwagę. Szukać człowieka, w podobnych warunkach, było to samo, co szukać szpilki w kopie siana. To było istne szaleństwo — Ale Robert Alimena czuł się na siłach do przystąpienia do tego szaleństwa.

Spędził jeszcze dwa dni w hotelu Piccadilly, zatopiony w najdziwaczniejszych rozmyślaniach, kiedy trzeciego ranka oznajmiono mu przybycie kogoś, pragnącego się z nim widzieć. Owa osoba, jak się wyraził chłopak hotelowy, nie chciała powiedzieć swojego nazwiska ani celu wizyty.

Robert, zawsze ostrożny i przygotowany na wszystko wyciągnął z etui maleńki, ładny rewolwer, zgrabny jak cacko i położył go na biurku, mówiąc chłopcu, aby wpuścił nieznajomego.

Był to człowiek młody jeszcze, silny, o twarzy otwartej i sympatycznej. Mógł mieć lat trzydzieści kilka. Twarz miał starannie wygoloną, co czyniło go podobnym do pastora. Ubranie miał na sobie czarne, skromne, ale bez zarzutu.

Wszedł pewnym krokiem i skłonił się przed Alimeną.

Robert zmierzył go zimnem spojrzeniem i dojrzał w jego twarzy cechy tak często spotykane u spokojnych, uczciwych mieszczan londyńskich.

— Kto pan jesteś? — zapytał.

— Jestem osobą, którą Ekselencya żądała widzieć.

— Jaką osobą?

— Czy Ekselencya nie potrzebuje moich usług?

— Usług?

— Czy Ekselencya jest hrabią Robertem Alimeną — zapytał z kolei przybyły.

— Tak.

— A więc wszystko w porządku. Ekselencya był przedwczoraj u dyrektora policyi.

— Tak.

— I tam powiedziano, że stawię się jak tylko powrócę z podróży.

— A więc pan jesteś...

Dick Leslie, do usług — skłonił się dobrodusznie detektyw.

— Dick Leslie!?

— Tak się zdaje. Dick Leslie, syn Boba Leslie i Margarety Bright urodzony w Londynie, na White-Chapel — zaśmiał się detektyw.

— To nie do wiary! — szepnął zdziwiony Robert.

— A jednak tak jest — oto moja karta i fotografia — oznajmił szczerze ubawiony detektyw wyciągając papiery z kieszeni.

Było to świadectwo policyi londyńskiej świadczące, że Dick Leslie należał do niej. Nie mogło już być wątpliwości. To szczególne jednak jaką ten sławny detektyw miał minę dobroduszną i naiwną.

— Tak — wszystko w porządku — uśmiechnął się Alimena. Jesteś więc pan wolny?

— Jestem wolny, Ekselencyo.

— Czy odnalazł pan tego syna lorda?— zapytał Robert machinalnie lecz spostrzegł zaraz, że postąpił nierozważnie. Mówiono mi... tłómaczył się... dyrektor policyi...

Dick Leslie spojrzał na niego z takiem naiwnem zdziwieniem, że Robert zmięszał się jeszcze bardziej, lecz zaraz odzyskał zwykłą swoją zimną krew i przystąpił bez wstępów do swojej sprawy.

— Czy jest pan gotów przyjść mi z pomocą? — zapytał krótko.

— Oczywiście.

— Zależy mi na odnalezieniu jednego człowieka.

— Doskonale.

— Niewiem jak się nazywa.

— Dobrze.

— Niewiem, gdzie się znajduje.

— Ślicznie.

— Niewiem nawet, czy to człowiek żyjący, czy też istota fantastyczna.

— Bardzo dobrze — powtórzył Dick Leslie i żaden muskuł nie drgnął na jego twarzy.

— Znajdzie go pan?

— Czy mam go odnaleźć żywym czy umarłym?

— Umarłym?

— Mógłbym panu wskazać jego grób — zaśmiał się wesoło Dick.

— Tem lepiej — ale niestety on żyje jeszcze.

— Czy Ekselencya wie coś o tym człowieku?

— Niewiele.

— Czy mogę zadać parę pytań.

— Oczywiście.

— Jak on wygląda?

— Ma około lat pięćdziesięciu...

— Mały — duży?

— Mały i garbaty.

— Garb ma na plecach, czy piersiach?

— Ogólnie garbaty.

— Piękny czy brzydki?

— Jakto? — piękny!?

— Niektórzy garbaci ludzie nie są brzydcy.

— Ten jest brzydki — bardzo brzydki — istny potwór — wstrząsnął się Robert.

— Doskonale. Jakie znaki dalsze?

— Zielone oczy.

— Zielone? Całkiem zielone?

— Zupełnie zielone. Nie widziałem nigdy tak zielonych oczu!

— Doskonale! Co jeszcze?

— Ma twarz bladą, a na wargach i policzkach kilka rzadkich włosów nieokreślonego koloru.

— Gdzie go Ekselencya widziała po raz ostatni?

— W Rzymie, cztery miesiące temu.

— Był sam?

— Był z kobietą.

— Oh! tem lepiej.

— Tem lepiej!?

— Tak — Kobieta młoda?

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

# Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II.

36

— To z tej strony. Lonlia została dlatego tu przywiązaną. Podawaj osty, Hanza!

Mówił łagodnie, lecz rozkazującym głosem Anglika, zwracającego się do tubylca.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Hanza wyszedł na brzeg i pobiegł jak biała strzała przez złoto.

— To pożyteczny chłopiec — rzekł Nigel. — A teraz, Ruby, chodźmy po błogosławieństwo egipskiej Afrodyty. Otrzymamy je z łatwością, gdyż Afodyta nie może się od ciebie odwrócić.

Podczas gdy się zbliżali do samotnej świątyni, gdzie smutna Hathor spogląda na dziedziñce, których już nie zaludniają tłumy czcicieli. Mrs. Armine popadła w milczenie. Nieprzyjemne wrażenie, doznane za pierwszą tutaj bytnością, powróciło. Lecz wtedy była zmęczona podróżą, teraz cieszyła się doskonałem zdrowiem i była w pełni sił. Nie powinna się stać ofiarą swych nerwów. A jednak, kiedy zobaczyła na tle nieledwie purpurowego nieba, szarą fasadę świątyni, wznoszącej się wśród bladych piasków i przypomniała sobie wykutą twarz bogini, przesądna bojaźń zakradła się do jej serca. Dlaczego Nigel powiedział, że pójdą po błogosławieństwo do tej tragicznej Afrodyty? Z pewnością żadne błogosławieństwo nie mogło spłynąć z tego ciemnego mieszkania wśród piasków, od tej bogini oddanna znieważonej opuszczeniem.

Zsiedli z osłów i weszli do świątyni. Nie było w niej nikogo, oprócz dozorcy, który ich przywitał uśmiechem, ukazując rząd białych zębów.

— Niech dzień wasz będzie szczęśliwy — rzekł po arabsku.

— Powinienby powiedzieć — niech wszystkie dnie na Nilu będą szczęśliwe — rzekł Nigel.

— Życzy nam szczęścia tylko na dzień, w którym mu dajemy pieniądze. Innego dnia moglibyśmy zginąć jak psy i aniby się o nas zatroszczył.

Mrs. Armine stała w pierwszym dziedziñcu i patrzała na twarz Hathor, zdającą się spoglądać z wieczystym smutkiem w daleką przestrzeń.

— Zdaje mi się, że zanadto liczysz na szczęście, Nigel — rzekła. Miała uczucie, że ta kamienna twarz rozkazuje jej to powiedzieć.

— Sądzę, że błądzimy, licząc na coś — dodała.

— Myślisz, że jest błędem patrzeć w przyszłość, jak ja czynię patrząc w naszą podróż po Nilu?

— Być może.

Weszła zwolna do wyniosłych mroków świątyni.

— Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć — dodała.

Było prawie przerażenie w jej głosie.

— Wszystko tak prędko przechodzi, jakiemkolwiek ono jest — rzekł. Lecz to nie powód, żebyśmy nie dążyli do szczęścia i nie cieszyli się z niego. Dlaczego starasz się dzisiaj zaciemnić mój entuzyazm?

— Wcale się nie staram. Ale to niebezpiecznie być zanadto pewnym szczęścia w przyszłość.

Mówiła przesądnie i w rzeczywistości mówiła do siebie samej. Początkowo myślała o nim i mówiła do niego pod wpływem pewnego współczucia, które należało raczej do dziewczęcia, które była dawniej, niż do kobiety, jaką się stała teraz. Mrok panujący w tej samotnej świątyni i poczucie, że to świątynia Afrodyty — myślała ciągle o Hathor jako o Afrodycie — wywierały na nią takie same wrażenie, jak za pierwszą jej bytnością. Myślała, jak krótko trwa władza kobiety nad mężczyznami, jak prędko przemija fizyczna piękność. Zdawało się jej, że słyszy, jak czas ucieka, że widzi ciemność zbliżającego się końca.

Wysoko, w mroku potężnego sklepienia powstał chór pisków. Wielkie cienie skrzydeł migały wśród lasu ciężkich kolumn. Potworne nietoperze Hathor zostały ze snu zbudzone. Ciężki zapach, jakby woń dawno minionej przeszłości doleciał do nozdrzy Mrs. Armine. A światło dnia zapadało coraz bardziej, podczas gdy ona wraz z Niglem szli dalej, pociągani pomimo woli potęgą ciemności i tajemniczą wonią płynącą z łona śmierci.

Nareszcie weszli do sanctuarium, „świętego świętych" Denderah, gdzie dawnymi czasy były zgromadzone posągi bogów Egiptu, gdzie tylko Faraon, albo jego arcykapłan mogli wchodzić w święto Nowego Roku. I stali w jego cieniu, ta kobieta wyrywająca się do nieokiełznanego życia swej sensualnej, nieporządnej przeszłości i ten mężczyzna który bez najmniejszej zarozumiałości wierzył, że zostało mu danem jąpowstrzymać.

Dozorca świątyni, który cicho za nimi postępował, zapalił wstęgę magnesium i powołał na chwilę do życia wspomnienie Faraona, składającego ofiary. Poczem ciemność znowu zapanowała. Ta cząstkowa i krótka wizya wydała się Mrs. Arminn jakby wizyą jej krótkiego życia pięknej kobiety, a ciemność, która nastąpiła, jak ciemność śmierci skrywająca ją na zawsze swą nieprzeniknioną zasłoną.

To co powiedziała Meyerowi Isaacsonowi w jego konsultacyjnym gabinecie, było prawdą. Kiedy myślała szczerze, nie wierzyła w przyszłe życie. Nie mogła pojąć życia duchowego, ani uwierzyć w zmartwychwstanie. To ziemskie życie było dla niej wszystkiem.

W Londynie, zanim poznała Nigla, była podobną do Hathor w tej świątyni, słysząca oddalające się kroki swych czcicieli. Z Niglem przyszła nadzieja wielkości światowej, ogromnego bogactwa, tryumfu nad nieprzyjaciółmi. I to nagle zawiodło. Obecnie miała znowu inną nadzieję i nadzieja ta musi się spełnić zanim jej piękność pogrąży się w nieuniknionej ciemności. A jej przeznaczeniem nie było wysokie położenie światowe, ani odzyskany szacunek. Nie mogąc mieć pierwszego, nie dbała o drugie. Może się urodziła do czego innego — żeby być czcicielką Wenery, a nie żeby uszczęśliwić jednego mężczyznę, jako jego prawowita żona. Sam wyraz „prawowita" przejmował ją dreszczem. Zdawało się, że była przeznaczoną do bezprawia. A zatem spełni swoje przeznaczenie bez strachu, bez litości, lecz nie bez ostrożności. A przeznaczeniem jej było wydostać się z pułapki, w którą się dostała.

Czy się z niej wydostanie? W mroku sanctuarium Hathor postanowiła, że się wydostanie, że nic jej nie powstrzyma. W Egipcie zaczęła kwitnąć, ona, więdnąca już kobieta. Musi wyjść z pułapki i niech jej przeznaczenie się spełni. I jakby czyniąc ślub egipskiej Afodycie, przysięgła to sobie. Nigel ją tutaj przyprowadził, ażeby ich Hathor błogosławiła w podróży. Gwałtownym popędem, odrzucając na bok wszelką litość, wątpliwość, bojaźń, wszystko oprócz płomiennego pragnienia, zwróciła się do Hathor o błogosławieństwo dla siebie w podróży — nie dla siebie i Nigla, lecz tylko dla siebie. Zwróciła się do bogini piękności, pogańskiej bogini miłości, która nie jest miłością duchową.

I natychmiast doznała wrażenia, że została wysłuchaną. A jednak słyszała tylko pisk ogromnych nietoperzy wysoko pod sklepieniem.

— Chodźmy już, Ruby. Nie wiem dlaczego, lecz dzisiaj nienawidzę tego miejsca.

Drgnęła na dźwięk tego głosu, lecz zapanowała nad sobą i spokojnie odparła:

— Dobrze, chodźmy, niepokoimy tylko nietoperze.

Wychodząc, spojrzała na kolumnę, z której patrzy Hathor, jakby szukając czcicieli i szepnęła pożegnanie bogini.

Skoro tylko znaleźli się na Lonlii, Nigel wydał rozkaz, żeby odpłynąć. Zdawał się być rozgorączkowanym, nie mógł usiedzieć spokojnie. A kiedy Lonlia zaczęła pruć wodę Nilu i brzegi zdawały się uciekać w liliowe światło północy, otworzył ramiona i wydał westchnienie połączone z okrzykiem. Zaśmiał się z siebie i odwrócił się szukając Ruby.

Stała na wierzchnim pokładzie pomiędzy palmami w wazonach z rękami opartemi o poręcz i wzrokiem zwróconym na niego. Zdjęła kapelusz i welon i zachodzące słońce oświecało jej dziwnie jasne, połyskliwe włosy. Skoczył i stanął przy niej.

— Nareszcie płyniemy! — zawołał.

— Jaki jesteś uradowany! Nazwałeś mnie dzieckiem, lecz sam jesteś jak chłopiec. Pomyślałby kto, że masz — Nie, to nie byłoby jak chłopiec.

— Co chciałaś powiedzieć?

— Że ktoś mógłby pomyśleć, że masz jakiegoś wroga w Keneh i że przed nim uszedłeś.

— Przed nim. Powinnaś powiedzieć przed nią.

— Przed nią?

— Hathor. Ta świątynia w Denderah zdawała się być nawiedzoną dzisiaj.

Zsunął kapelusz z czoła, wystawiając je na powiew wietrzyka.

— Kiedy staliśmy w sanctuarium zdawało mi się, że czuję śmierć i zgniliznę. Uf!

Twarz jego się zmieniła na to wspomnienie.

— A piski tych nietoperzy! To jak pogróżki duchów Byłem waryatem, żeby iść w takie miejsce po błogosławieństwo na naszą podróż. Moja próba pogaństwa została ukaraną i nic dziwnego, Ruby. Nie zdaje mi się, żebym był choć trochę poganinem. Nie widzę wielkiej radości w pogańskiem życiu. Nie mogę zrozumieć, jakim sposobem krótkie życie może być radosnem. Jak może się radować człowiek, widzący tylko ciemność przed sobą?

— Jaką ciemność?

— Śmierć — bez zmartwychwstania.

Milczała chwilę, poczem zapytała.

— Znajdujesz, że śmierć, to tylko drzwi do innego życia?

— Wierzę, że tak jest. A ty?

— Owszem. A zatem nie obawiasz się śmierci?

— Czy się obawiam — teraz? Musiałbym teraz tak wiele opuścić! A zresztą lubię to życie, cieszę się niem. Ktoby się niem nie cieszył z mojem zdrowiem. Dotknij się tego ramienia!

Nie ruszyła się. Wziął jej rękę i przycisnął palce do swych muskułów.

— Jak stal — rzekła odejmując rękę. Ale muskuły i zdrowie to nie to samo, prawda?

— No nie, lecz czy widziałaś kiedy człowieka wyglądającego lepiej odemnie?

Stojąc przy niej, rozpromieniony, wyprostowany ze swemi błyszczącemi zapałem niebieskiemi oczami, jasnymi, krótkimi włosami, wyglądał jak bożek zdrowia.

— Oh, wyglądasz zupełnie dobrze — rzekła — tak jak mnóstwo mężczyzn, oddających się sportom.

Zaśmiał się.

— Nie mówisz mi komplementu, którego gragnę. Patrz na te łodzie, naładowane glinianymi wyrobami. Wszystkie te naczynia — kulal, jak je tubylcy nazywają — są wyrabiane w Keneh. Widziałem ludzi przy robocie. Jak to dobrze widzieć życie rzeki! Ustawicznie jest coś nowego, coś zajmującego. Ludzkość przy pracy w słońcu, na otwartem powietrzu. Kto nie wolałby raczej być fellahem, niż pracować w jakiemś angielskiem mieście? Przez całą drogę na Nilu będziemy słyszeli stare pieśni, te same, które śpiewano, kiedy Sfinks został wykuty w żywej skale i będziemy widzieli idące sznurem kobiety z dzbankami wody na głowach. Żebyśmy tylko powrócili, zanim statki zaczną kursować i Nil będzie podobny do ciągłego snu! Ale co tam! Ostatecznie odmówiliśmy Barondi'emu jego maszyny parowej. Będziemy więc płynąć z wiatrem, albo będą nas holować, jeżeli wiatr ustanie, a nie zechcemy stać u brzegu. To jedyny sposób podróżowania Nilem, lecz naturalnie Barondi używa tej rzeki, jak kolei żelaznej, żeby jeździć za interesami.

Zatrzymał się, jakby jego myśli weszły na inne tory i znowu się odezwał:

— Czy to nie dziwne, że się znajdujemy na łodzi Barondi'ego, którego nie widzieliśmy od czasu, kiedy nas zaprosił na herbatę? Przychodziło mi na myśl...

— Co?

— Myślałem, że może przyjedzie, żeby nas wprowadzić na łodź i życzyć nam szczęśliwej podróży.

— Po co miałby to czynić?

— Rozumie się, że to nie konieczne, ale byłoby wielką grzecznością okazaną tobie.

— Oh, sądzę, że im mniej europejskie kobiety doznają grzeczności ze strony ludzi Wschodu tem lepiej — rzekła szydersko.

— Masz na myśli tę wstrętną niemkę w Fayum. Lecz Barondi jest bardzo dobrze widziany przez Anglików w Egipcie. Dowiedziałem się o tem w Kairze. Jest persona grata jak na Egipcyanina. To jeden z powodów jego powodzenia we wszystkiem, co przedsięwziął.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Kronika tygodniowa

Czasem powie się coś lub napisze w złą godzinę. Tak było widocznie i z tą kroniką, w której była wzmianka o pękaniu rur wodociągowych, jako objaw irytacyi, że Krakowianie czasem, gdy im się pić chce, a wodociąg tylko dmucha, biorą je na kawał.

I upłynął zaledwie tydzień, pękła znów jedna z najgrubszych rur magistrackich (o u nas z zasady tylko takie pękają...) i naraziła Kraków na czterdziestogodzinne pragnienie, gospodyniom zaś przysporzyła tyle kłopotu, iż niejedna z nich życzyła w duchu, aby ten, kto wodociągi wymyślił, z piekła nie wyjrzał, a, gdy mu się tam pić zachce, miał przed sobą kurek wodociągu, z którego jednak nie kapie, lecz wydobywają się jakieś dziwne głosy, niczem potępieńców, smażących się w ogniu piekielnym.

Czy ta rura pękła w samej rzeczy z irytacyi, czy też z innego jakiego powodu, w to nie wchodzimy, konstatując jedynie fakt, że pękła i pozbawiła wody cały Kraków. Kto ma bujną fantazyę, mógłby owo pęknięcie zaliczyć do seryi niespodzianek kwietniowych, o których w poprzedniej kronice była mowa. W gruncie rzeczy nie jest to niespodzianka, gdzie powtarza się to aż nazbyt często i stwierdza za każdym razem, że pod względem zaopatrzenia we wodą Kraków stoi daleko w tyle poza Kłajem i Kulikowem, gdyż wprawdzie wodociągu brak, są za to studnie i z powodu pragnienia nikt tam dotąd nie umarł. Mamy wprawdzie wodociąg, który nie tylko dostarcza czasem wody, ale uprzyjemnia nam także czas muzyką, cóż jednak z tego, zbyt często on zawodzi, a nie pomyślano o tem, aby na wszelki wypadek zapewnić sobie rezerwy wodowe, czy to pod postacią dodatkowego wodociągu, czy też studzień. Gdy swojego czasu zaprowadzono w Krakowie wodociągi, wypowiedziano studniom walkę na śmierć i życie. W każdej z nich znalazł fizykat potwory, zdrowiu mieszkańców szkodliwe, zasypywał je też jedną po drugiej. Dziś dopiero widzi się, że się zrobiło kolosalne głupstwo, ale ojcowie miasta pocieszają się tem, że nie było one pierwsze, nie będzie też i ostatnie. Dzięki ówczesnemu panu fizykowi, który wtedy odegrał rolę Don Kiszota, walczącego z wiatrakami, jest dziś Kraków w razie pęknięcia rury zdany na łaskę losu. Bo i czem w danym wypadku gasić ogień, który może, nie robiąc sobie nic z pęknięcia rury, akurat w tym czasie wybuchnąć? Jest wprawdzie Wisła, ale dostęp do niej trudny, ponadto miasto, mając wodociąg, nie rozporządza odpowiednią liczbą beczkowozów i potrzebnego do ich obsługi zaprzęgu i personalu.

Z pragnieniem, które w czasie braku wody dokucza szerszym i węższym sferom, nikt się nie liczy. Komu się zechce pić, może bardzo łatwo ugasić pragnienie piwem. Ale chyba trudno w piwie myć się lub kąpać. Byłoby to przedewszystkiem połączone z ogromnymi kosztami (szkoda zresztą marnować piwo, które się da wypić!... przyp. zecera) poza tem mogłoby narazić na wejście w konflikt z ustawą, gdyby się tak pokazało, że ktoś w niedzielę lub święto użył w tym celu piwa o zawartości więcej, niż dwa i pół procent alkoholu.

Spokojne zwykle nasze domy mieszczańskie, dzięki owej niedyspozycyi wodociągu, spowodowanej pęknięciem rury, zmieniły się na te dwa dni w małe piekiełka. Kiął pan domu, że wody niema, że trzeba było się domyśleć, iż rura pęknie i porobić zawczasu zapasy (gdy się je zaś robi, klnie też, że się wodę marnuje...), pomstowała pani i służąca, przypominająca sobie owe dawne minione chwile, gdy się szło z konewką do studni i tam zabawiało się pół godzinki miłą rozmową z koleżankami. Studnia była zatem w starym Krakowie rodzajem Kasyna domowego, w którem z wieku i urzędu prezesowała stróżka, dziś nazywana „panią dozorczynią“.

Ba!... Klątwy owe i pomstowania nie pomogą i nie zaradzą brakowi wody, którą wprawdzie rozwozi magistrat, ale w bardzo skąpej ilości i przedewszystkiem w te okolice, gdzie mieszkają ojcowie miasta. Tu i ówdzie udało się wprawdzie uratować studnię przed wandalizmem ówczesnego fizyka, jest ich przecież mało, a właściciele strzegą ich jak oka w głowie. W tych dniach każdy z nich bardziej się cieszył swą studnią niż całą kamienicą.

Praktyczni robią i na wodzie interesy, sprzedając ją potrzebującym po cenach nie ograniczonych jakąś tam taryfą maksymalną, lecz ustanowionych wedle własnego uznania. Spragnieni ludziska płacą bardzo chętnie, nawet ustawiają się w „ogonki wodne“, czekając cierpliwie na swą kolej.

Taką „niespodziankę“ wodociągową mamy kilka razy w roku. Na doprowadzenie wodociągu do porządku trzeba mniej więcej czterdzieści osm godzin. Co jednak stałoby się, gdyby tak pewnego dnia rozgrymasiła się Wisła i zmieniła swe koryto, wobec czego nasze wodonośne tereny w Smierdzącej, Cholerzynie i t. d. osuszyłyby się nagle?... Bo, że zachodzi tam jakiś związek przyczynowy, o tem wiemy dobrze, przypominając sobie z lat poprzednich, iż w czasie posuchy, gdy stan wody na Wiśle jest niski i wodociąg stale niedomaga, a magistrat zmusza do nawoływań do jej oszczędności.

W danym wypadku musiałoby się prosić Wisłę, aby raczyła wrócić do starego koryta, ewentualnie przenieść za nią na inne miejsce Kraków wraz z jego wodociągiem. Czyż zatem nie jest od Krakowa stokroć szczęśliwszy Kłaj lub Kulików, nie będąc narażonym na podobne ewentualności. Braknie mu wody w jednej studni, znajdzie się druga, trzecia, a ludzie, choć ją piją, są daleko zdrowsi, niż my, którzy raczymy się „nekterem bielańskim“ z miejskiego wodociągu. Co zaś najważniejsze nie mają powodu do niepotrzebnej irytacyi.

Aby złemu zaradzić, należałoby zatem w najkrótszym czasie postarać się o to, aby:

1) postawić studnie, w których już owe potwory, zagrażające zdrowiu mieszkańców z pewnością wyzdychały, ewentualnie nałożyć im na pyski kagańce oraz zaszczepić jakieś *antidotum*, które unieszkodliwiłoby ugryzienie,

2) postarać się o dodatkowy wodociąg, który mógłby zastąpić kolegę w razie jego niedyspozycyi, spowodowanej pęknięciem.

Kraków rozszerza się z dniem każdym, rośnie liczba mieszkańców, mających pragnienie, a nie mogących sobie pozwolić na gaszenie go piwem, a wypadałoby pomyśleć o tem na seryo i to wtedy, gdy jest w mieście woda, a nie czekać, aż znów rura pęknie lub wodonośny teren w Cholerzynie i Smierdzącej zupełnie wyschnie.

Bez jedzenia trudno się obejść, daleko jednak trudniej bez wody.

Jeżeli zatem pęknięcie rury wodociągowej uważać będziemy za kwietniową niespodziankę, musimy ją z natury rzeczy nazwać „mokrą“.

Drugą taką „mokrą“ niespodzianką kwietniową był deszcz, jakiego nam w ubiegłym tygodniu nie żałowały niebiosa, choć w tak zwanym „kalendarzu stuletnim“ można było wyczytać, że możemy się w tym czasie spodziewać stałej pogody.

Cóż to bowiem jest „stuletni kalendarz“? Jest to sobie taki kalendarz, jak każdy inny, który podaje w którym dniu, który Swięty lub Swięta obchodzą imieniny, kiedy jest niedziela, w którą nie wolno zupełnie pracować, a kiedy dzień powszedni z ośmiogodzinną pracą, aby się nie zmęczyć. Poza tem znajdują się tam przepowiednie astronomiczne, z których wynika, że słońce wschodzi zwykle rano, a zachodzi wieczorem, oraz prognoza meteorologiczna, powtarzana dosłownie z roku na rok. Ponieważ w ciągu lat stu może się wydarzyć, że się ona raz spełni, dlatego ten kalendarz nazwano „stuletnim“. Kto robi stale zapiski meteorologiczne i porównuje je z kalendarzem, ten się może o tem bardzo łatwo przekonać.

Kalendarz „stuletni“ zapowiadał zatem pogodę, a deszcz tymczasem padał, prawdopodobnie w tym celu, aby udowodnić, że „kwiecień-plecień, bo przeplata, trochę zimy, trochę lata“.

— Aby się dowiedzieć, czy ów deszczyk wiosenny jest potrzebny, czy nie, zasięgnął kronikarz fachowej opinii tych, którzy z deszczem mają coś wspólnego. Pokazało się przecież, że zdania są pod tym względem podzielone. Jeden z obywateli Krakowa oświadczył, że jest on dobrodziejstwem, gdyż spłucze śmieci i kurz, drugi natomiast narzekał, że to prawdziwa klęska dla ludzkości. A, celem wyjaśnienia, dodać należy, że ten pierwszy, to radca miejski, który zasiada w komisyi czyszczenia miasta, drugi zaś jest profesorem Uniwersytetu i ma z tego powodu podarte buty.

Dalej zainterpelowani w tej kwestyi agraryusze, byli również rozmaitych zdań. Ten, który pokończył już roboty w polu, utrzymywał, że ów deszczyk to złoto, drugi, który się nieco spóźnił, był zdania wprost przeciwnego.

Pokazuje się zatem, że ludziom nigdy nie dogodzi, że z czego jeden się cieszy, drugi na to narzeka, mając do tego słuszne nieraz powody. W kwestyi, czy ów deszcz był potrzebny, czy nie, solidaryzuje się kronikarz w zupełności ze zdaniem onego profesora Uniwersytetu i to z tych samych co i on powodów. Pociesza się tem jedynie, że w każdym razie lepszy deszcz, niż śnieg. Mokniemy, co prawda, ale przynajmniej nie marzniemy, ciesząc się, że wiosna już za pasem. Bociany już podobno przyleciały, tu i ówdzie pokazała się nawet i młoda rzodkiewka, specyał, kosztujący dawniej dwa centy, dziś dostępny jedynie dla wojennych milionerów.

Choć się zatem, jak z tego widać, wiosna zbliża, nie wszystkim jest wesoło. W ich położenie wszedł też litościwy magistrat, który jako władza aprowizacyjna, ogłosił światu „słodką tajemnicę“, to jest, iż sprzedaż cukru na luty i marzec kończy się wraz z końcem miesiąca kwietnia, spodziewać się zatem należy, że, o ile nadejdzie transport świeżego, będzie sobie można już w maju osłodzić nim kwietniowe goryczę. Oszczędność w tym kierunku jest bardzo chwalebna.

Gdybyśmy otrzymywali regularnie przydziały cukrowe, byłoby już po nich, a tak możemy się cieszyć, że mamy „zapasy“, choć nie bardzo pewne, ale w każdym razie krzepiące ducha i pozwalające żyć nadzieją, że kiedyś będzie nam przecież słodko.

Skoro już mowa o niespodziankach, to musi się kronikarz przyznać, że była dlań prawdziwą niespodzianką notatka, jaką znalazł w jednem z pism codziennych, iż w pewnej krakowskiej restauracyi popisuje się chór ukraiński, bardzo gorąco oklaskiwany przez publiczność...

Czy myślał kto, że z czemś podobnem można się spotkać w Krakowie i to niespełna w dwa lata po smutnych przejściach we wschodniej Małopolsce, gdzie tak obficie lała się polska krew i rozbrzmiewały chóry... jęków i płaczu braci naszych, mordowanych i prześladowanych przez ukraińskiego ciemięzcę... Nie przeczymy, że małoruskie śpiewki są bardzo melodyjne, ale produkowanie się niemi w Krakowie i w tych warunkach, jakie dotąd między oboma narodami panują, uważamy za nietakt, a nawet prowokacyę. Dziwić się należy naszej prawdziwie baraniej potulności i wyobrazić sobie, jak „gorąco“ przyjętoby polski chór, gdyby się zjawił w okolicy, zamieszkałej przez rdzennych hajdamaków, którzy stale, razem z swymi Szeptyckimi i Petruszewiczami na czele, zaprzysięgli zagładę wszystkiemu, co polskie.

Polacy, to naród rycerski, to „Francuzi północy“, ale na świecie musi mieć wszystko swe granice a miarka może się z czasem przebrać. Jeżeli Krakowianie chcą się raczyć śpiewem, czy mało mają swoich, polskich towarzystw śpiewackich, które mogą im zanucić i małoruskie melodye, jeżeli bez nich komuś obejść się tak trudno...

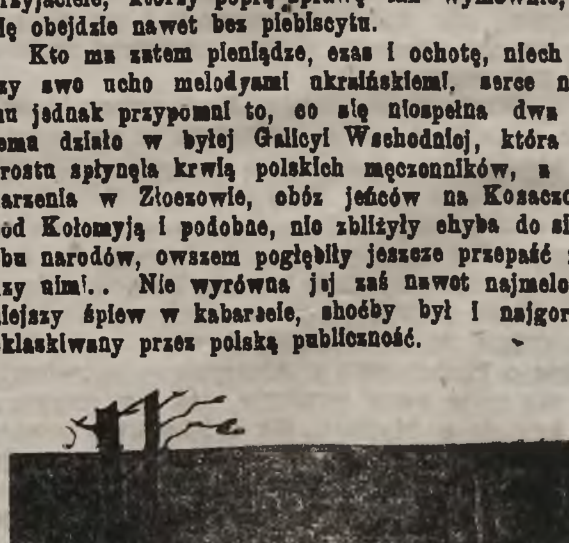
Dopóki stosunek nasz do sąsiadów od Wschodu nie będzie uregulowany, niema miejsca w Krakowie dla ukraińskiego chóru... Ładnie wyglądałby niemiecki chór, gdyby się tak pokazał w Paryżu. Z pewnością prasa francuska nie reklamowałaby go ani słowem.

Niech nas nie łudzi, że w Tarnowie rezyduje tymczasowo rząd republiki ukraińskiej z Petlurą na czele, że zatem zupełna zgoda między nami i miłość, jak na braci przystało.

Zbyt dotkliwie poparzyliśmy się na gorącem, rozsądek zatem każe dmuchać nawet i na zimne. Z tej strony spotkamy się z niejedną jeszcze gorzką pigułką, którą nam przyjdzie połknąć, a nie znajdziemy wtedy nikogo, przed kim możnaby się użalić.

Możemy być na to przygotowani, że niech tylko powieją dla nich pomyślniejsze wiatry, wystąpią zupełnie otwarcie przeciw nam, a, kto wie, czy za jakie lat dziesięć lub dwadzieścia nie udowodni któryś z „ukraińskich historyków“, że cała była Galicya jest rdzenną częścią Ukrainny, a na poparcie swych twierdzeń poda, iż w r. 1920 i 1921 był Tarnów stolicą Ukrainy zachodniej, jest to zatem miasto ukraińskie, nie polskie. W Berlinie i Wiedniu zaraz znajdą się usłużni przyjaciele, którzy poprą sprawę tak wymownie, że się obejdzie nawet bez plebiscytu.

Kto ma zatem pieniądze, czas i ochotę, niech cieszy swe ucho melodyami ukraińskiemi, serce niech mu jednak przypomni to, co się niespełna dwa lata temu działo w byłej Galicyi Wschodniej, która poprostu spłynęła krwią polskich męczenników, a wydarzenia w Złoczowie, obóz jeńców na Kozaczowie pod Kołomyją i podobne, nie zbliżyły chyba do siebie obu narodów, owszem pogłębiły jeszcze przepaść między nimi.. Nie wyrówna jej zaś nawet najmelodyjniejszy śpiew w kabarecie, choćby był i najgoręcej oklaskiwany przez polską publiczność.



# Nieudały strajk jeneralny w Anglii.

Przemysłowi i handlowi angielskiemu groziła w bieżącym miesiącu ruina. Górnicy rozpoczęli bezrobocie, do którego, jak się spodziewano, przystąpią na znak solidarności kolejarze i robotnicy transportowi. Następstwem tego musiało by być zupełne unieruchomienie angielskiego przemysłu i handlu, które pociągnęłoby za sobą miliardowe straty. Rząd angielski rozwinął bardzo energiczną akcyę zapobiegawczą i w samej rzeczy udało się uniknąć katastrofy. Kolejarze i robotnicy transportowi do bezrobocia się nie przyłączyli, wobec czego górnicy, pozostawieni sami sobie, musieli się zgodzić na podjęcie pojednawczych rokowań z pracodawcami.

Według informacyi, jakie przynoszą angielskie dzienniki, wpływy i rady komunistyczne poparte złotem z Moskwy płynącem, ponoszą część odpowiedzialności za angielski strajk węglowy. Jest to pierwszy poważny napływ „Czerwonych" na Wyspy Brytyjskie, a celem jego — zatopienie w szybach węglowych kapitalizmu. Bezpośrednia agitacya pracowała przez długie miesiące i jak okazało się obecnie, właśnie strefy węglowe, które są dziś ogniskiem strajku, były z góry przeznaczone na posiew bolszewizmu.



Zgon ex-cesarzowej niemieckiej: Małżonka ces. Wilhelma, zmarła w Doorn w 11 kwietnia b. r.

Do międzynarodowego ruchu czerwonego należy Robert Williams, przywódca robotników transportowych, E. V. Williams, głowa górników w Yorkshire i Tom Mann, znany agitator robotniczy w Londynie. Nie mają zaś z agitacyą tą nic wspólnego znani przywódcy Clynes, Hodges i Arthur Henderson, a nawet zwalczają oni całą siłą ten fatalny prąd podziemny.

Ruch ten rozpoczął się zeszłego lata, gdy człowiek nazwiskiem Murphy, przewędrowawszy angielską strefę robotniczą, zjawił się na Trzecim Kongresie międzynarodowym w Moskwie i po naradzie z przywódcami bolszewickimi wrócił z programem i z zadaniem rozpowszechnienia komunizmu w Anglii, zrazu na małą skalę w najprzystępniejszych dystryktach, później stopniowo rozszerzając propagandę wśród robotników. Powstały komitety lokalne naprzód w Tife, Lanarkshire i Rhondda, później w Yorkschire, skąd przygotowano dalszą agitacyę, która miała objąć Durham i Wales.

Agitatorom płacono po sześć funtów tygodniowo. Wszystkie koszta pokrywała Moskwa. W ostatnich tygodniach powstała w Londynie rada robotnicza. Program przewiduje nagół kontrolę kopalni przez robotników; poza tem żąda narodowej płacy, wszystkich świąt wolnych i nie płacenia podatku dochodowego. Rady mają być w stałym kontakcie z Moskwą i miały wysłać delegatów w czerwcu na kongres międzynarodówki czerwonej. Był też plan szerzenia agitacyi na kolejarzy i inne organizacye robotnicze, które miały podlegać jednemu naczelnikowi i być pod ścisłą kontrolą Rosyi. Lenin zadecydował, że ta metoda jakkolwiek powolniejsza, jest pewniejsza od walki bronią i gwałtem i zamierzał zastosować ją do wszystkich krajów.




Nieudały strajk jeneralny w Anglii: Unieruchomiony skutkiem strajku tabor kolejowy na dworcu w Cardiff.

Ajenci tajnej policyi angielskiej mieli wszystkich tych agitatorów na oku, śledzili za każdym ich ruchem i temu zawdzięczać należy wiele zarządzeń ochronnych. I tak, gdy 50 górników weszło przed kilku dniami do jednej z kopalń, aby zbadać jak możnaby ją uszkodzić, zastali tam batalion wojska, który przybył tam nocą przez nikogo niespostrzeżony.

Do niektórych dystryktów zagrożonych rząd wysłał wojsko i ta szybka i zupełnie tajna akcya uchroniła znaczną ilość kopalń, a zarazem udaremniła pracę agitatorów. Zdaje się nawet, że cały plan „czerwonych" spalił na panewce, ponieważ cały obecny nastój ludności odwraca się od strajkujących i popiera gorąco usiłowania rządu. Mimo, iż obecnie górnicy powoli wracają do pracy, rząd i nadal w każdym kierunku czyni starania celem ochrony bezpieczeństwa i własności prywatnej spokojnej ludności. Nie ustaje też mobilizacya sił ochotniczych do pompowania wody w zatopionych szybach.

Szkody dotychczasowe są bardzo wielkie: Dwa dziścia kopalń w Szkocyi i Wales, zatrudniających 20.000 ludzi i ośmnaście w Anglii i Wales, zatrudniających 5.000 ludzi jest zupełnie zatopionych, 25 do 30 szybów w rozmaitych obszarach węglowych jest częściowo zalanych lub ogniem uszkodzonych. Tylko 5 jest beznadziejnie zniszczonych. Oceniają, że doprowadzenie kopalń napowrót do normalnego stanu, umożliwiającego pracę, trwać będzie kilka miesięcy, a w pewnych wypadkach nawet kilka lat.

# Zgon ex-cesarzowej niemieckiej.

W dniu 11. kwietnia b. r. zmarła w Doorn w Holandyi po dłuższej słabości b. cesarzowa niemiecka Augusta. Zgon jej przyspieszyło wygnanie, na którym znalazła się wraz ze swym małżonkiem. Był to typ niemieckiej nie arystokratki, lecz raczej mieszczanki, której celem życia były trzy „K" — Kinder, Kirche, Küche. Z domu księżniczka holsztyńska w r. 1881 poślubiła z inicyatywy Bismarcka, ówczesnego księcia pruskiego a późniejszego cesarza Wilhelma.

Ex cesarzowa Augusta, za czasów swego panieństwa, żyła w domu rodzicielskim, prowadzonym po mieszczańsku, w sposób jak najskromniejszy. Młode księżniczki uczęszczały na pensyę w Koburgu, gdzie otrzymały wykształcenie niekompletne. Matka ich wraz z córkami szyły sobie same stroje, przykrawane przez krawca, pracującego na godziny.

W chwili zamążpójścia wszyscy byli zgodni co do tego, iż przyszła cesarzowa jest niezgrabna, ciężka, że ma kłopotliwe maniery i ubrana jest bez gustu. Bardzo dobra matka, sama wykarmiła swe dzieci, a ponieważ nie nosiła gorsetu, z czego właśnie robiono jej na dworze zarzuty, więc miała wygląd bujny, ale mało elegancki.

Bieliznę nosiła z ordynarnego płótna, a jej przyrządy toaletowe nabywane były w tanich bazarach. Cesarzowa miała dwie namiętności, lubiła mianowicie biżuteryę i to była główna część jej wydatków. Drugą namiętnością była lektura. Codziennie czytywała jedną książkę, dobierała jednak sobie autorów, niewykraczających poza granicę pospolitej popularności.

Wilhelm II. czuwał nad popularnością swej żo-



Nieudały strajk jeneralny w Anglii: Typy angielskich górników.



**Rozbrajanie Niemiec**: Miejsce demontowania niemieckich samolotów wojskowych w Johannisthaln.

ny i na jego to rozkaz dzienniki peryodycznie ogłaszały artykuły, wyrażające się w słowach pochwalnych o życiu prywatnem cesarzowej, sławiące jej elegancyę, piękność, dobroć, rozum i zamiłowanie sztuki. Jest to legenda, która była podtrzymywana nie tylko w Niemczech, lecz także zagranicą przez długie lata.

W ostatnich latach doprowadzało cesarzową Augustę do rozpaczy to, że tyła i że nos jej czerwieniał.

Cesarzowa niekiedy dzieliła się refleksyami, wprowadzającemi w zdumienie jej gości. Przyjmując pewnego razu przed wojną pewną Amerykankę, zaprezentowaną jej przez ambasadora Gerarda, rzekła:

— My tu nie obawiamy się o przyszłość, gdyż każde z nas potrafi walczyć z losem i jeżeli rewolucye, o których mówią, pozbawiłyby nas tronu, to my i tak zarobimy na życie, jak to czyni wiele osób w waszym kraju. Cesarz — jak to jest w zwyczaju w jego rodzinie — nauczył się oprawiać książki i w sztuce tej jest bardzo biegłym, a co się mnie tyczy, to umiem bardzo dobrze szyć suknie i bieliznę.

Wynurzeniem tem cesarzowa starała się przypodobać Amerykankom, gdyż w ich kraju praca fizyczna jest szanowana.

Mimo znacznych dochodów, cesarzowa w chwili wybuchu rewolucyi, pozostawiła u swoich krawców berlińskich długi. W późniejszych latach mniej się ograniczała w wydatkach na stroje, tak, iż miała zwyczaj nie nosić więcej niż dwa lub trzy razy tego samego kostyumu, dzienniki zaś berlińskie donosiły, że zamawiała rocznie około 250 kostyumów.

Cesarzowa nie lubiła Francyi i Francuzów, to też zamawiając niekiedy za pośrednictwem filii berlińskiej stroje z Paryża, kazała usuwać wszelki ślad firm francuskich i zastępować je firmami berlińskich zakładów modniarskich.

Z uwagi na męża, cesarzowa dobierała sobie służbę oraz damy dworu z pośród kobiet brzydkich, tak iż w Poczdamie powstało przysłowie: „Brzydka jak służąca cesarzowej".

Pewnego dnia w czasie poobiedniej rozmowy, cesarzowa rzekła:

— Nie wiem dlaczego moje damy dworu nie wychodzą za mąż?

— Niechaj się zapytają o to swego... zwierciadła — odrzekł, śmiejąc się Wilhelm II.

Na początku wojny cesarzowa odwiedzała chorych w szpitalu, zachęcając ich, ażeby jaknajrychlej wracali na front, celem „wytępienia tych świniarzy francuskich, tak zepsutych i niewierzących wcale w Boga".

Słowa te kilkakrotnie notowały dzienniki nie mieckie.

Od wybuchu rewolucyi cesarzowa zajęła się wyszukiwaniem w biblii ustępów zapowiadających... restauracyę cesarstwa niemieckiego.

— Bóg nas pomści. — mówiła — Nie może być inaczej!

Niestety, marzenia jej nie miały się spełnić. Do Niemiec powróciły jedynie jej zwłoki, które złożono na spoczynek wieczny w grobach królów pruskich w Poczdamie.



**Rozbrajanie Niemiec**: Armaty niemieckie służące do ostrzeliwania statków powietrznych w Wilhelmshafen.

## Zbliżenie francusko-amerykańskie.

Podróż polityczna Viviani'ego do Ameryki, odniosła pożądany skutek. Nadzwyczajny delegat rządu francuskiego spotkał się w Stanach Zjednoczonych z tak serdecznem przyjęciem nie tylko sfer oficyalnych, lecz i ogółu ludności, iż wszystkie tak skwapliwie, zwłaszcza przez prasę niemiecką szerzone wiadomości o tarciach w łonie Koalicyi, wszczególności zaś między Stanami Zjednoczonymi a resztą mocarstw sprzymierzonych, okazały się wyssanemi z palca. W szczegółach drobnych mogą istnieć jakieś różnice w kwestyach zasadniczych, a do nich należy przedewszystkiem wykonanie postanowień traktatu wersalskiego, panuje między sojusznikami zupełna jednomyślność.

Sprawozdania z pobytu i przyjęcia z jakiem się Viviani spotkał za Oceanem, podziałać też powinny, jak zimna woda, na opór Niemiec, które się ciągle z tamtej strony spodziewały wydatnego poparcia. Rząd Stanów Zjednoczonych i ludność dały niedwuznaczny wyraz przez usta swych najwybitniejszych przedstawicieli, że Francya może liczyć na najdalej idącą pomoc Ameryki, która stale przy tem obstaje, że traktat wersalski musi być wypełniony do ostatniego punktu.

W Waszyngtonie przyjęty został Viviani przez prezydenta Hardinga, w całym szeregu miast, które



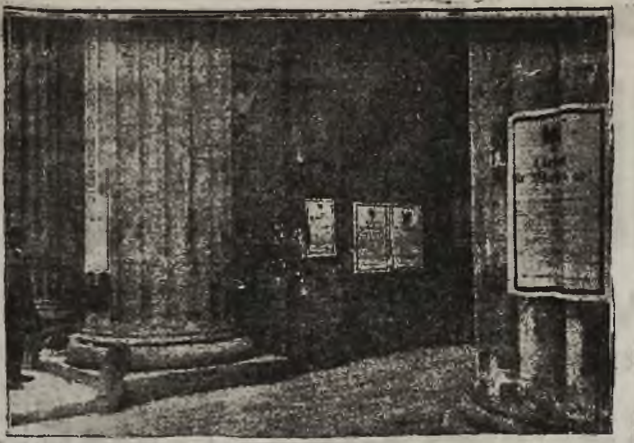
**Zbliżenie francusko-amerykańskie**: R. Viviani w towarzystwie ambasadora francuskiego Jusserand'a przed audyencyą u prezydenta Stanów Zjednoczonych w Białym Domu w Waszyngtonie.

odwiedził, był przedmiotem szczerych owacyi ze strony ludności, nie kryjącej się bynajmniej ze swemi sympatyami dla republiki francuskiej. W Nowym Jorku odbyło się na cześć francuskiego gościa uroczyste zebranie przy masowym udziale wszystkich sfer, podczas którego gubernator stanu nowojorskiego Miller wręczył Viviani'emu sztandar amerykański, wygłaszając entuzyastyczną mowę na temat przyjaźni francusko-amerykańskiej, a miasto zamianowało go swym obywatelem honorowym.

Następstwem zbliżenia francusko-amerykańskiego będzie zamianowanie delegata amerykańskiego do Rady ambasadorów. Polityka Milleranda i Brianda odniosła w ten sposób zupełny sukces, a ułożenie się pomyślne stosunków między Francyą i Ameryką daje pełną gwarancyę, że traktat wersalski wypełniony będzie w całej swej rozciągłości.

## Rozbrajanie Niemiec.

Według postanowień traktatu wersalskiego mają Niemcy wydać Koalicyi cały zapas broni i amunicyi znajdującej się w ich posiadaniu z pozostawieniem sobie tylko nieznacznej ilości, potrzebnej do koniecznej obrony. Wydana przez Niemcy broń i amunicya ma być zniszczona, uzyskany zaś w ten sposób materyał ma służyć do przeróbki na cele przemysłowe. Stawiając ten warunek między głównemi postanowieniami traktatu, spodziewały się rządy mocarstw sprzymierzonych, że krzyżackiej bestyi wyrwą kły i szpony i unieszkodliwią ją, jeśli nie raz na zawsze, to bodaj na czas dłuższy.



**Rozbrajanie Niemiec**: Wezwania do ludności o oddawanie broni rozlepione na Bramie Brandenburskiej w Berlinie.

Do tego punktu traktatu zachowały się Niemcy jak zresztą do całej jego treści w sposób wykrętny, mający na celu zamydlenie oczu aliantom. Wydanie broni postępuje bardzo ospale, najważniejsze przecież przedmioty, jak n. p. owe sławne „Grube Berty“ gdzieś się zapodziały i ani rusz nie można ich odnaleźć. Prawdopodobnie czekają gdzieś skromnie w ukryciu na sposobność, aby znów wystąpić w obronie „uciśnionych“ Niemiec.

Koalicya okazała wobec pokonanego wroga bardzo wiele kurtuazyi i porobiła mu najdalej idące ustępstwa, mijające się z celem wojny światowej,



**Rozbrajanie Niemiec**: Składanie broni przez ludność niemiecką w lokalach zbiorczych.

która miała raz na zawsze wybić Niemcom z głowy mrzonki o panowaniu nad światem.

Patrząc na przeznaczony na zniszczenie niemiecki materyał wojenny, nabieramy dopiero wyobrażenia, jak kolosalne sumy kosztowało każde państwo utrzymanie zbrojnego pogotowia, koniecznego ze względu na „stosunki sąsiedzkie“. Niemcy wydały dotąd tylko małą część swych zapasów, a jednak wartość ich obliczać można na miliardy.

Żelazo to, zamienione na maszyny rolnicze lub przemysłowe, byłoby cywilizacyi oddało stokroć większe usługi, niż armaty, samoloty itp. mające za zadanie niszczenie dorobku ludzkiej kultury.

## Jeden z ostatnich.

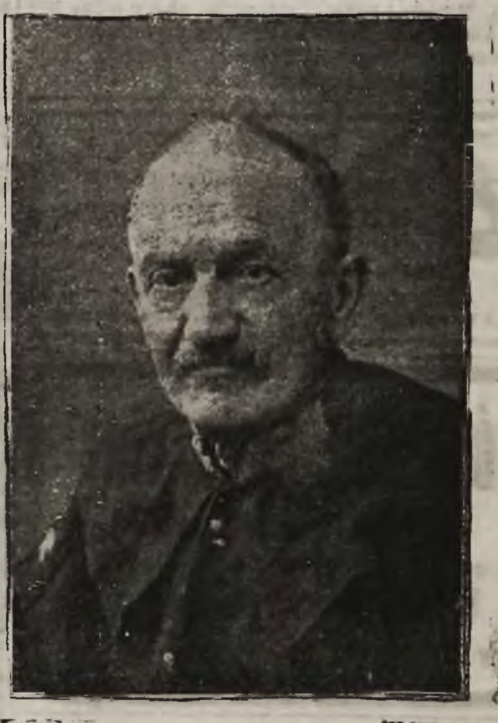
Przerzedzają się coraz bardziej szeregi tych, którzy przeszło pół wieku temu chwycili za broń, aby w rozpaczliwym wysiłku uwolnić Ojczyznę od najazdu wroga. Szlachetne i bohaterskie ich porywy nie odniosły pożądanego skutku, obrońcy wolności uledz musieli przemocy, ale nie upadli na duchu. Nie mogąc z orężem w ręku, rozpoczęli pracę narodową na innych polach, przygotowując wyzwolenie narodu z pętów niewoli. I szczęśliwymi się czuli ci z nich, którym dane było oglądać własnemi oczyma wschód jutrzenki Wolności nad ukochaną tak przez nich Polską.

Niewielu ich zostało przy życiu, z dniem każdym robi śmierć w ich szeregach coraz większe wyłomy, a naród polski, składając do grobu śmiertelne ich szczątki, oddaje hołd zasługom swych obrońców, których przykład znalazł tak godnych naśladowców pośród młodszego pokolenia.

W ubiegłym tygodniu pożegnał Kraków jednego z nich, człowieka rzadkich zalet serca i charakteru, Henryka Waltera, który mimo swego niemieckiego nazwiska był wzorem prawdziwego i szczerego Polaka, dającego dowody swej miłości Ojczyzny nie słowem tylko, lecz i czynem.

Sylwetkę śp. Zmarłego kreśli jeden z osobistych jego przyjaciół w następujących słowach:

Henryk Walter, emerytowany starszy radca górniczy, zmarł 21 bm. w 86 roku życia w Krakowie. Ze zmarłym schodzi do grobu postać jednego z najzasłużeńszych pionierów i opiekunów naszego górnictwa, a zarazem patryota, który czynem miłość Ojczyzny stwierdził. Kiedy wybuchło powstanie 1863 roku, śp. Walter porzucił urząd i z oddziałem Leona Czechowskiego wkroczył z Galicyi w Lubelskie. W oddziale tym znajdował się i Tadeusz Romanowicz, z którym koleżeństwo broni zamieniło się w długoletnią przyjaźń. — Po rozbiciu oddziału Czechowskiego, powrócił zrazu do Galicyi, gdzie był na granicy aresztowany. Odzyskawszy wolność udał się na nowo na plac boju i walczył aż do upadku powstania. Jako jednego z najcelniejszych strzelców wymienia go album pamiątkowe, wydane w 50-tą rocznicę powstania. Rząd Narodowy 29 go lutego 1864 roku mianował go kapitanem celnych strzelców pod wodzą Bosaka, wojewody sandomierskiego i krakowskiego. — Po upadku powstania wstąpił z powrotem do służby górniczej i doszedł do stanowiska starszego radcy górniczego. Jako taki był naczelnikiem okręgu górniczego lwowskiego, na którem to stanowisku oddał ogromne zasługi około uratowania i podźwignięcia kopalni borysławskich. Przeszedłszy na emeryturę osiadł w Krakowie, otoczony szczerym szacunkiem tych, co się do niego zbliżyli i gorącą jego polską duszę poznali. Notatki swoje z czasów powstania powierzył K. Bartoszewiczowi.



**Jeden z ostatnich**: Major celnych strzelców z r. 1863. Henryk Walter, em. starszy radca górniczy.

## Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

# Zagadki do nagrody.

### Trójkąt magiczny.

Ułożył A. B., z Wilna.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy popularne dziś nazwisko jednego z zagranicznych wojskowych, mającego słuszne prawo do narzekania na polską niegościnność i marnowanie artykułów pierwszej potrzeby:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — —
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

*Znaczenie wyrazów:* 1. Szukany wyraz, 2. Postać z dziejów starożytnych, 3. Część świata, 4. Herb polski, 5. Złoty pieniądz, 6 Duchowny muzułmański. 7. Znany ptak, 8. Litera grecka, 9. Samogłoska.

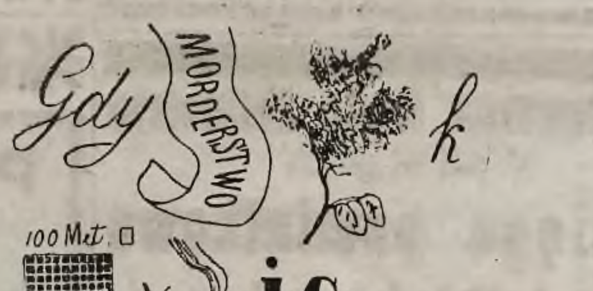
### Przysłowiówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć przysłowie, mające związek z obecną porą:

-ie-y-a--e-----y---a--e-, -ę--ie---ó-,
a--y-a-a--a-u--a-a, -a-ie---ó !

### REBUS.




### Okienko.

Ułożył Fotograf ze Lwowa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| a | a | a | a | c |
| é | | e | | i |
| i | k | ł | ł | o |
| o | | ó | | ó |
| s | s | s | t | t |

*Znaczenie wyrazów*: 1. Popularne dziś we Lwowie zdrobniałe imię żeńskie, 2. Ptak drapieżny, 3. Materya jedwabna.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Savage „Moja urzędowa żona“ (powieść ; 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

## Rozwiązanie zagadek z Nru 16.

**Grzebieniówka**: Kola, r, Omar, n, Soła, t Adam, d, toga.

**Zadanie do uzupełnienia**: Soła, toga, rota, Apis, jota, koło, woda, agat, noga, gips, Leda, Imam, Iran.

**Rebus**: W uroczym i walecznym kraju pozostawiły po sobie ślady mordy i pożogi.

**Okienko**: Joffe, febra, Emaus.

**Dobre rozwiązania nadesłali pp.**: T. Cielecki Sandomierz, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, H. Walewska Kraków, M. Wysocka Jasło J. Opolski Łódź, W. Dutkiewicz Przemyśl, W. Smiszkiewicz Milówka, M. Lisowski Stanisławów, H. Malinowski Warszawa, W. Teodorowicz Warszawa, Z. Zawadzki Stryj J. Jabłoński Lublin, J. Martynowicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Piekarski Poznań, K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, K. Dębicki Samber, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, M. Brandys Kraków, H. Blonder Chrzanów. J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Lwów, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, H. Sadowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Boratyńska Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S Sygewska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, W. Korman Tarnów, C. Górny Limanowa, H. Radelli Tarnów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) T. Cielecki Sandomierz (książka), 2) M. Zombek Lwów (kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina.